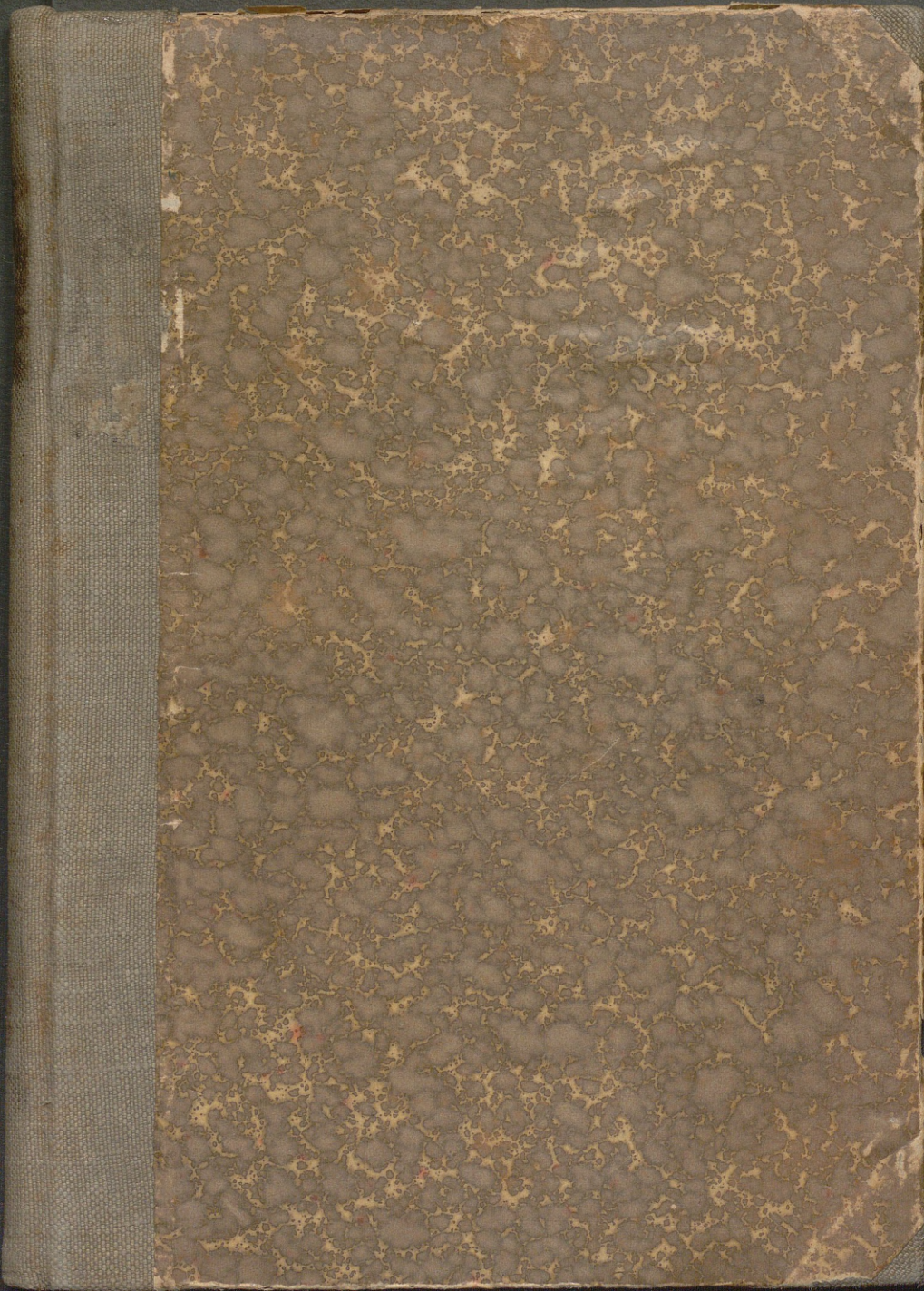


Grey Scale #13

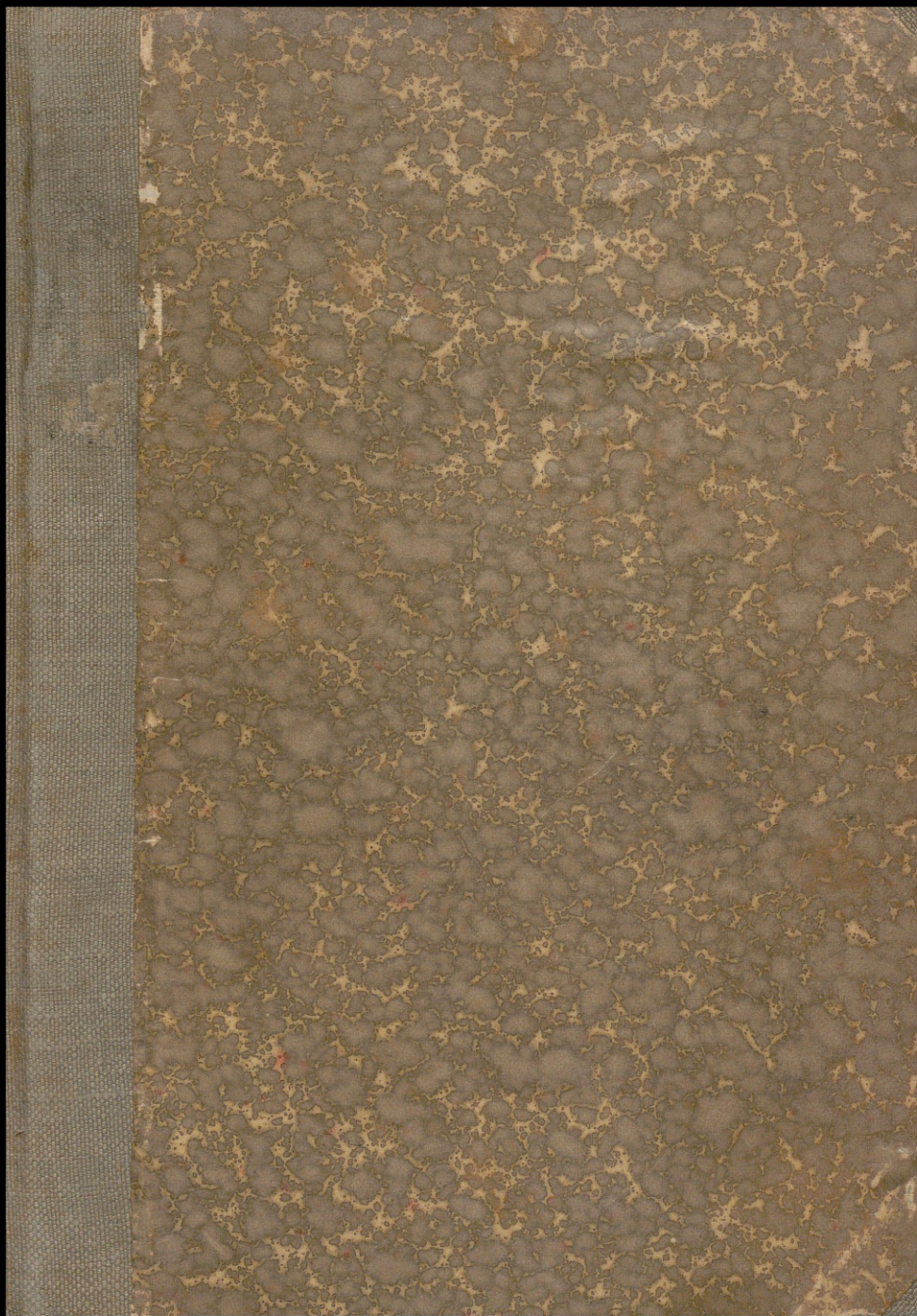


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13







~~11012~~

Biblioteka Oficerska
Załogi Wojsk Polskich
w KRAKOWIE

Ul. Grodzka 64. I. p.

~~11012~~

POLSKA I ŚWIĘTA WOJNA

NAPISAŁ

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI



MARYAN
ASKLER
KSIĘGARNIA
STANISŁAWOW.

Pl. Grodzka 64. I. p.



554/5-

11012

POLSKA I ŚWIĘTA WOJNA

NAPISAŁ

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI



MARYAN
HASKLER
KSIĘGARNIA
STANISŁAWÓW.

ul. Grodzka 64. I. P

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI MARYANA HASKLERA STANISŁAWÓW
1916. — WIEDEŃ (C. K. NADWORNA KSIĘGARNIA MAUR. PERLESA).

Staraniem i nakładem księgarni
MARYANA HASKLERA
 w Stanisławowie, ul. Sapieżyńska
 (czasowo w c. k. nadwornej księgarni M. Perlesa)
 opuściły prasę w wytwornym wykonaniu „Tiefdruck“
dwie serye kart artystycznych
LEOPOLDA GOTTLIEBA

PIERWSZA
BRYGADA
LEGIONÓW
POLSKICH

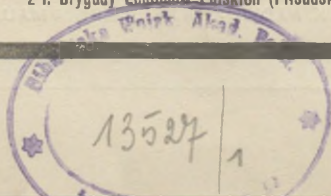
Serya I. Piłsudski, Sosnkowski, Be-
 lina, Śniadowski, Litwino-
 wicz, Kaden.

Serya II. Sztab jeneralny, Berbecki,
 Grzmot, Sieroszewski, Sie-
 maszko, Śmigły.

Cena jednej seryi (6 kart) 1 korona,
 z przesyłką K 1·10, za pobraniem K 1·50,
 za obie serye razem K 2, za poprze-
 dniem nadesłaniem należności wprost do
 wydawcy.

Karty powyższe nabywać można we
 wszystkich księgarniach i papierniach.

Należy wszędzie wyraźnie żądać kart Gottlieba
 z I. Brygady Legionów Polskich (Piłsudskiego).



Przedmowa.

Niniejsza broszura była przeznaczona wyłącznie dla społeczeństwa niemieckiego i pisana była w języku niemieckim pod tyt. »Polen und der heilige Krieg«. Niech zatem polskiego czytelnika nie zdziwi, że dają w niej najelementarniejsze zarysy z dziejów Polski i jej kultury — całkiem Niemcom obce i nieznanne.

Cel i potrzebę tej broszury wyjaśnia przedmowa moja do niemieckiego wydania, która brzmi, jak następuje:

Broszura ta, która powstała z kilku artykułów, jakie podczas obecnej wojny pomieściły rozmaite dzienniki niemieckie, nie jest bynajmniej wyrazem politycznych widoków na przyszłość ze strony Polski, zamilcza pragnienie i nadzieje narodu polskiego co do odbudowy i wskrzeszenia dawnej Polski — jedynym jej celem, to rzucić pomost porozumienia między dwoma sąsiadującymi z sobą i na równej kulturalnej wyżynie stojącymi narodami, które w biegu czasu coraz więcej powaśnione, całkowicie obce dla siebie się stały.

Broszura ta jest równocześnie orędziem do narodu niemieckiego i apelacją do jego poczucia prawności i sprawiedliwości wobec narodu, którego cały niesłychany tragizm odsłoni się oczom ludności niemieckiej

może dopiero po ukończonej wojnie — apelacya, poparta wyluszczeniem prawa, jakie sobie Polska na przyszłość zdobyła i je słusznie rościć może przez swój współdział w tej świętej wojnie przy boku narodu niemieckiego daleko poza granice tego, co obowiązek i mądrość polityczna wskazywała.

»Weit über das Pflichtmass hinaus« tymi słowy określił cesarz Franciszek Józef obecną, czynną akcyę Polski.

Kanclerz Rzeszy niemieckiej zasię, Bethmann von Hollweg wyraźnie zaznaczył w swej dostojnej mowie z dnia 19-go sierpnia r. b., że obecna okupacya ziem polskich oznacza początek onego rozwoju, który położy koniec waśniom i przeciwieństwow Polaków a Niemców.

A, aby ten idealny postulat istotnie mógł się urzeczywistnić, zachodzi konieczna potrzeba obustronnego, gruntownego i poważnego wypowiedzenia się, wolnego od wszelkiej małostkowej, z góry już uprzedzonej złośliwości i nienawistnego obniżania się — zachodzi gwałtowna potrzeba, by wyznaczać drogę, na której obydwie narody w wzajemnem zaufaniu i wzajemnem szacunku zetknąć się mogły.

I jeżeli danem mi będzie tą małą broszurą w grubym murze zaobopólnej nieufności i niechęci choć mały wyłom zrobić, jeżeli uzyska znaczenie choćby pierwszego kroku na żmudnej drodze wzajemnego porozumienia, to cel jej w całości osiągnięty.

Monachium, w październiku 1915 r.

Autor.

I.

Ogarnęło mną dziwne uczucie, gdym poraz pierwszy posłyszał, jak naród niemiecki rozpoczął mówić o swej wojnie, jako o wojnie »świętej«.

Utajony instynkt narodu zdołał tem dostojnem określeniem wyrazić treść i istotę tej swojej wojny przeciwko niesłychanej, przerażającej wprost przemocy i gwałtu.

Bo im głębiej wnika się w istotę obecnej wojny wszechświatowej, tem blachsze i niklejsze wydają się być przyczyny, które ponoć jej wybuch spowodować miały: niemiecki militarizm, angielski imperializm, cokolwiek spóźnione pragnienie Francuzów, by zdraziecki łup Króla-Słońca z powrotem posiadać, albo też naiwne i śmieszne usiłowanie Rosyi, by zaborcze swoje zakusy pokryć płaszczykiem idei wszechsłowaniańskiej — to nie przyczyny tego wszechświatowego pożaru.

Muszą one zaiste głębiej tkwić.

Z początku, gdy spadł cały grad wypowiedzeń wojennych, miało się wrażenie, że cała ludzkość została

opętana jakąś gromadną psychozą, podobną tym, które podczas średniowiecza tak często Europę nawiedzały — ale nie! Raczej mogło się wydawać, że wojna ta jest jakąś żywiołową katastrofą, coś w rodzaju trzęsienia ziemi, wybuchu wulkanów, nagłego przelania się morza poprzez brzegi, rozrywającego najpotężniejsze tamy, — a przecież to niedawno temu, jak powstało jezioro Zuider — a wreszcie: dla czegoby ziemia, ta wielka potężna ziemia — miała spokojnie znosić, by jakieś natrętne robactwo, które się ludzkością zowie, miało ustawicznie jej skórę rozrzniać, pod nią się wgrzebywać, urągać jej tunelami, kopalniami, wszystkie jej ukryte skarby w bolesnych torturach z jej łona wyrywać?

Więc cóż dziwnego, że ziemia raz poraz się wstrząśnie, by się tego plugawego robactwa pozbyć, a w kilku godzinach w niwecz obraca kilkusetletnią ludzką pracę, zatrzuwa ludzkość truciznami, w które jest przeobfitą — przecież nawet z tego, z czego człowiek chleb piecze, pędzi równocześnie najstraszliwszą truciznę, — nawiedza ludzi ostrym szalem, wzbudza w nich wojnę, w której ludzkość nawzajem się wytępia, z chorobą wściekłości niszczy wszystko, z czego dumną była, nad czym wieki pracowała, i czym się już z Bogiem równać chciała.

Ale i to nie! Całkiem coś innego!

»Masowa psychoza«, »żywiołowa katastrofa«, »objawy zatrucia«, »intoksykacja całej ludzkości«, to tylko

próżne kategorie werbalne, któremi tak olbrzymie zjawisko Duszy, jakie się w Wojnie objawia, zaledwie określić, ale nigdy ani go wytłómaczyć ani ująć nie można.

I było to jakby wyzwolenie, to określenie »święta«, jakim instynkt narodu tę swoją wojnę obdarzył i przeświadczenie o »świętości« swej sprawy na cały świat w uniesionem natchnieniu wykrzykiwał.

Określeniem tem powitał naród niemiecki budzenie się wiosny Duszy ludzkiej, onej Duszy, która spowita błogim snem długiego pokoju, przędła rozkoszne marzenia, nie wiedząc o tem, że wszystko wokół do tego się przygotowywało, by jej piękność i wolność plugawem błotem cynicznego materializmu obklajstrować.

Tym przydomkiem »święta« wyraził naród wielki gniew i groźne oburzenie Duszy, w której panowanie wkraczała ordynarna przemoc Materii. A w miarę jak tygodniami całymi widziałem szeregi i coraz nowe zastępy bojowników, kroczących ku aż nadto gościnnemu państwu Śmierci z wesołym śpiewem na ustach, hulaszczymi okrzykami gorącego zapału i pewności zwycięstwa, uświadamiała mi się głębia tego instynktu narodu, który tę wojnę »świętą« obwołał.

Potęga Śmierci przewyciężoną została — ponad jej wielkowladztwem, przed którym niedawno jeszcze ludzkość się trzęsła i drżała, zatryumfowała teraz święta Mania, boski gniew Duszy, której boskością przepojoną moc brutalne, hycelskie ręce nadkruszyć chciały.



Jak przepotężnie zerwała się Dusza z długiego uśpienia, jaką olbrzymią mocą wyrosła w niebo w swem przebudzeniu!

Nigdy nie zadrzał z taką pokorą przed jej Mocą, jak wtedy, gdy dzień i nocą widział przeciągające bezustannie pochody szeregów wojsk — bez końca, bez końca, uwieńczonych kwiatami, strojnych w odświętne szaty, wśród gorących, wawrzynu chciwych pieśni bojowych — za »świętą« sprawę, — kroczących bez końca w państwo Śmierci!

Ale niema już Śmierci!

Moc Duszy skruszyła w proch najstraszniejszą zmorę ludzkości.

Katafalk i karawan stał się laurem chwały uwieńczonym rydwanem — trumna rozkosznym łóżem ślubnym, a pogrzebne pienia rozbrzmiewają radosnem weselem epithalamii.

Śmierć ponętna i kusząca przodownica stanęła z kosą, kwieciem strojną, powiewającą wstęgami wieńca żniwnego przy uroczystej bramie tryumfalnej i zaprasza nieprzeliczone szeregi poprzez gościnne progi w gospodarza dom.

A oni idą ochoczo i wesoło, a każdy z nich z najbogatszym plonem, jaki w swem życiu zebrać zdołał, a wśród nich wszystkich ujrzałem nagle gromadkę najbiedniejszych ofiarników, których nie starczyło na daninę w dobytku i bogactwie, więc każdy z nich wyrwał z swej piersi mocarną krwią ociekające serce i ta-

kież je złożył na ofiarnej miseczce i świętym ogniem
płonące niesie je w bogaty i zbyt gościnny Gospodarza
dom:

To bracia moi!

I właśnie przed tymi ubożuchnymi ofiarnikami
rozstąpiły się szeregi w bogaty plon zasobnych i pu-
ściły ich w kornej pokorze naprzód — bo zaiste ci naj-
ubożsi wydali się najdostojniejszymi — a może mi się
to tylko tak wydawało?

Ależ nie!

Miałbyż to być tylko sen, że ta garstka, która już
od półtora wieku stacza »święte« boje i »święte« krwa-
we wojny o byt swej Duszy, miałyby być niedosyc po-
ważaną przez wielki i silny naród, którego Dusza teraz
również walczy w zacieklej świętej wojnie przeciwko
dziesięciorakiej przemocy o byt swój?!

Ale spostrzegam się, że mimowoli popadłem
w »patos«, który przecież może tylko stać na przeszkod-
zie trzeźwemu roztrząsaniu sprawy, ale trudno wyzbyć
się patosu, którego zresztą czas nasz bardzo potrzebuje
i doskonale znosi, jeżeli się zważy, że niesłychane ofiary,
jakie Polska w ciasnych ramach tego, co dla żyjącego
narodu wogóle jest możliwem, w krwi i dobytku na oł-
tarzu ojczyzny wśród nieopisanych trudów i zaparcia
się siebie ponosi, mniej mają dowodowego znaczenia,
aniżeli niechlujne pomyje, jakimi wroga Polsce prasa
naród nasz oblewa.

Polska w obecnej wojnie wyszła poza obręb wła-

Jak przepotężnie zerwała się Dusza z długiego uśpienia, jaką olbrzymią mocą wyrosła w niebo w swem przebudzeniu!

Nigdy nie zadrzał z taką pokorą przed jej Mocą, jak wtedy, gdy dzień i nocą widział przeciągające bezustannie pochody szeregów wojsk — bez końca, bez końca, uwieńczonych kwiatami, strojnych w odświętne szaty, wśród gorących, wawrzynu chciwych pieśni bojowych — za »świętą« sprawę, — kroczących bez końca w państwo Śmierci!

Ale niema już Śmierci!

Moc Duszy skruszyła w proch najstraszniejszą zmorę ludzkości.

Katafalk i karawan stał się laurem chwały uwiecznionym rydwanem — trumna rozkosznym łóżem ślubnym, a pogrzebne pienia rozbrzmiewają radosnem weselem epithalamii.

Śmierć ponętna i kusząca przodownica stanęła z kosą, kwieciem strojną, powiewającą wstęgami wieńca żniwnego przy uroczystej bramie tryumfalnej i zaprasza nieprzeliczone szeregi poprzez gościnne progi w gospodarza dom.

A oni idą ochoczo i wesoło, a każdy z nich z najbogatszym plonem, jaki w swem życiu zebrać zdołał, a wśród nich wszystkich ujrzałem nagle gromadkę najbiedniejszych ofiarników, których nie starczyło na daninę w dobytku i bogactwie, więc każdy z nich wyrwał z swej piersi mocarną krwią ociekające serce i ta-

kież je złożył na ofiarnej miseczce i świętym ogniem
płonące niesie je w bogaty i zbyt gościnny Gospodarza
dom:

To bracia moi!

I właśnie przed tymi ubożuchnymi ofiarnikami
rozstąpiły się szeregi w bogaty plon zasobnych i pu-
ściły ich w kornej pokorze naprzód — bo zaiste ci naj-
ubożsi wydali się najdostojniejszymi — a może mi się
to tylko tak wydawało?

Ależ nie!

Miałbyż to być tylko sen, że ta garstka, która już
od półtora wieku stacza »święte« boje i »święte« krwa-
we wojny o byt swej Duszy, miałyby być niedosyc po-
ważaną przez wielki i silny naród, którego Dusza teraz
również walczy w zacieklej świętej wojnie przeciwko
dziesięciorakiej przemocy o byt swój?!

Ale spostrzegam się, że mimowoli popadłem
w »patos«, który przecież może tylko stać na przeszkod-
zie trzeźwemu roztrząsaniu sprawy, ale trudno wyzbyć
się patosu, którego zresztą czas nasz bardzo potrzebuje
i doskonale znosi, jeżeli się zważy, że niesłychane ofiary,
jakie Polska w ciasnych ramach tego, co dla żyjącego
narodu wogóle jest możliwym, w krwi i dobytku na oł-
tarzu ojczyzny wśród nieopisanych trudów i zaparcia
się siebie ponosi, mniej mają dowodowego znaczenia,
aniżeli niechlujne pomyje, jakimi wroga Polsce prasa
naród nasz oblewa.

Polska w obecnej wojnie wyszła poza obręb wła-

snych sił — w tej »świętej« wojnie środkowej Europy o supremację Duszy nad brudną, chciwą zachłannością, nienawiścią zazdrości, rozpasaniem najniższych instynktów grabieży, poniosła Polska może daleko większe ofiary, aniżeli w onym, w chwałę i męczeństwo przeobfitym roku 1831-ym, onym dostojnym, podziwianym i wawrzynem najwyższego męstwa wieńczonym roku. Wtedy jeszcze miała Polska swoje własne, w żelaznym, barbarzyńskim rygorze księcia Konstantego doskonale wyćwiczone wojsko — nie trzeba zapominać, że Konstanty chciał je już wtedy przeciw Prusakom poprowadzić — miała Polska własnych, w setkach bitew pod Napoleonem wypróbowanych generałów, a przedewszystkiem świetny stan majątkowy, który nie dozwalał Aleksandrowi I znieść danej Polakom Konstytucyi pod pozorem, że sami się rządzić nie umieją.

W stosunku do środków, jakimi Polska w 1831 r. rozporządzała, jest obecna Polska żebraczo biedna, i tem donioślejszą i świętszą jest jej ofiara, którą w tej wojnie składa, a zdaje się, że dusza niemieckiego narodu, która przecież zawsze umiała bezstronnie wyłuszczyć z duszy obcej narodowości wszystko, co w niej wielkie, piękne i ofiarne, i skarb ten oceniać i podziwiać, nie zmieniła się w przeciągu kilku biednych lat dziesiątek do tego stopnia, by się wypierać i wstydić tego uwielbienia i tej głębokiej sympatyi i podziwu, jaką miała dla narodu, który swego czasu miał prze-

cież małe szanse zwycięstwa, teraz wobec wnuków i prawnuków tego samego narodu, którzy ostatni swój grosz na ołtarzu »świętej« sprawy składają i za nią ostatnią kroplę krwi przelać gotowi?!

Pewno, że czasy i stosunki tysiącrotnie się zmieniły, tysiące nieporozumień w międzyczasie powstało, brak zaufania i pług nieufnych podejrzeń wyorał głęboki rów między tak blisko z sobą sąsiadującymi narodami, a wspólna nienawiść weszła trującym zielnikiem na sąsiednich polach — ale w tej wielkiej godzinie, która teraz wybiła — wspólna Dola, wspólny Bój o najświętsze ideały skojarzyła, — przecież się nie myłę? dusze obydwóch poważnionych sąsiadów.

Polscy legionieści, których odwagę, bezgraniczną ofiarność, bezwzględną pogardę śmierci, dwóch cesarzów w zaszczytnych słowach podnosiło, walczą ramię przy ramieniu z austriackim i niemieckim żołnierzem w serdecznym zbrataniu przeciwko wspólnemu wrogowi — i wierzę, że teraz nadeszła chwila, w której możliwym jest zawarcie sojuszu między dwoma, na tej samej kulturalnej wyżynie stojącymi narodami, Polakami i Niemcami, — duchowy sojusz, polegający na wspólnej wierności — i to nie zawarcie, ale odnowienie onego sojuszu, który datuje z 1831 roku, a który będzie najpiękniejszym dowodem stałości i wierności duszy niemieckiej.

Jakżeż to wtedy było?

Nikt z współczesnych onych czasów pamiętać nie

może, a Bismarck był może ostatnim wśród Niemców, który, jak to sam przyznaje, w roku 1848 na ulicach Berlina wyśpiewywał popularną podówczas piosenkę o bohaterskim Łagience, więc zdaje mi się, że jeżeli kiedykolwiek, to teraz na czasie przypomnąć narodowi niemieckiemu chwile jego najgorętszych uniesień dla świętej sprawy Wolności, chwile, może najpiękniejsze obok tych, które przeżywała dusza narodu niemieckiego, gdy się z pod jarzma napoleońskiego wyzwalala — przypomnąć jej ekstatyczny wprost zapal, z jakim brała duchowo udział w bohaterskich zapasach narodu o byt swej Duszy. — A czyż teraz Niemcy o co innego walczą?

A więc niech ta niemiecka, ta stała, ta wierna, ta wszelkiej piękności spragniona, ku wolności rwąca się dusza posłucha pięknej bajki... Bajkaż to? nie! to rzeczywistość, w którą, jeżeli kiedykolwiek to teraz właśnie gorąco i zbożnie wierzyć przynależy po tylu biednych, znojných, gniewnych lat dziesiątkach.

*
*
*

Z głęboką miłością i cichą melancholią przerzucam wciąż od nowa kartki książki, która się właśnie do mych rąk dostała:

»Polenlieder deutscher Dichter«.

Ach! jak je dobrze znam te »Polenlieder« od najszybszej mej młodości. W domu moich rodziców le-

żały całymi stosami na starodawnym klawicymbale, wprawdzie nie w książkowym wydaniu, ale jako luźne zeszyty z tekstem, nutami do śpiewu, a na okładkach widniały piękne litografie, które się głęboko w pamięć dziecka wraziły. Były tam wizerunki polskich generałów, Chłopickiego, Skrzyneckiego, Umieńskiego, pomnę Poniatowskiego, który na swej siwej klaczy do Elstery wskakuje, kosyniera polskiego, który się zabiera do krwawej košby i widzę księżyc, który »z za chmury — wygląda ponury« i przypatruje się śmierci zdrajcy ojczyzny i widzę mogiły, nad którymi »leca listki z drzewa, co wyrosły wolne« — tekstu wtedy odczytać nie mogłem, bom jeszcze wtedy języka niemieckiego nie znał, ale te piękne litografie służyły mi jako wzory do bezlicznych rysunków.

To był mój dziadek ze strony matki, Jan Grąbczewski, który był oficerem w wojsku polskim, a po ukończonym powstaniu, ciężko ranny, wyemigrował do Prus Zachodnich i tu z skrzętną miłością zbierał dowody sympaty, może niezrozumiałej dla dzisiejszej generacji niemieckiej, sympaty i nieomal ekstatycznego uwielbienia dla sprawy polskiej.

A wszystkie te pieśni, te litografie były niczem więcej, jak tylko jedną wielką, szczerą gloryfikacją powstania 1831 r.: entuzyastyczny jego rozpęd w samych początkach, powitany przez najszlachetniejszych w narodzie niemieckim z niesłychanym zapalem, gorączkowo niepokój, z jakim nierównomierne perypetye tych

bohaterskich bojów z zapartym oddechem śledzono, głęboki smutek i żaloba, z jaką wraz z Polakami przypadło grześć ostatnie nadzieje wskrzeszenia Polski, to wszystko znalazło w pieśniach niemieckich bardów, których nazwiska dotychczas nie spłowiwały, przeciwnie nabrały jeszcze gorętszego blasku, głęboki, przejmujący, grozą i oburzeniem wstrząsający wyraz.

Długo, długo tułały się te zeszyty z pieśniami, nutami, apoteozującemi litografiami po dworkach polskich, albo butwiały na strychach, aż wreszcie zostały zebrane w zbożnym pietyzmie w trzech tomach, z których pierwszy się ukazał, jako dług wdzięczności Polaków, spleciony cieniom tych wielkich, gorącą miłością wolności trawionych mężów, dla których sprawa Polski, stała się ich własną sprawą, i nie tylko jako wdzięcznie spleciony dług, ale jako pomnik na cześć tego, co najszlachetniejszym w duszy niemieckiej: jej głębokiej w zbożnym nabożeństwie trwającej czci wobec śmiertelnych zapasów narodu, walczącego o swą wolność.

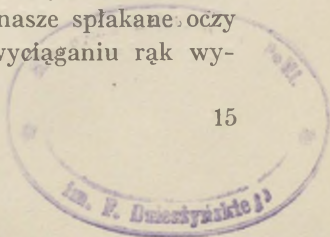
A działo się to roku 1831.

W »pieśniach polskich« Mikołaja Lenaua, Anastazyusza Grün'a, hr. Augusta Platena, barona Zedlitzta, barona Maltitzta, Karola Buchnera, Freiligratha, Herwegha, Grillparzera, by tylko najgłośniejsze nazwiska, wymienić, tkwi spory kawał historii wszechświata, dla którego nie łatwoby znaleźć odpowiedni »pendant«.

O ziemię powalona, zgwałcona, wijąca się

w przedśmiertnych konwulsjach, tarzała się Polska. Wprawdzie ożywił Napoleon jej głowę dyplomatycznym kunsztem do chwilowego życia biednym, niegodnym wielkiego cesarza, bękartem politycznym: W. Ks. Warszawskiem, ale głowie tej brakowało członków. Upadek Napoleona zamknął zmęczone oczy skołatanej głowy — przypadło jej tylko w udziale, ujrzeć, jak gasł ostatni promyk ongiś wspaniałej gwiazdy, tej nieszczęsnej mamiącej gwiazdy, która swem światłem przez dziesiątki lat przyświecała najgorętszym snom wolności i niepodległej mocy, która syciła swem światłem najzuchwalsze pragnienia i »pewności« narodu i przed jego oczyma bezustannie wyczarowywała złudną »Fata Morganę« potężnego Odrodzenia, w dyby rosyjskiej niewoli zakutej swej Duszy.

Ubóstwiany, czarujący Aleksander I nie omieszkął obudzić z pijanego snu nadziei, zachwyków, absolutnych pewności naród polski swoim ostrem, grubijańskim i bezgranicznie cynicznym: »Pas des illusions, messieurs« — dał mu wprawdzie śmieszny karykaturę konstytucyi, dla której atoli na oścież otworzył drzwiczki, drzwi, wrota bezwstydnemu, bezwzględnemu despotyzmowi. Polskę wykreślono z karty Europy — płaczmy w dalszym ciągu nad tem bezprawiem, które już dla króla »polskiego« Augusta Mocnego — było »une grande affaire« — pozostał tylko kraj Nadwiślański, a Europa — ta właśnie, na którą nasze splakane oczy w ciężkiej męce, w rozpaczem wyciąganiu rąk wy-



trzeszczaliśmy — przeszła do porządku dziennego, bo przecież już podczas Kongresu Wiedeńskiego Anglia — och! ten rozkoszny Albion — sprawę polską do porządku doprowadził.

I takóŜ się stało, że on piękny, biały orzeł polski tarzał się z połamanemi skrzydłami w własnej krwi, i bił niemi bezmocny o ziemię, poszarpany, błotem owalany, a Europa bawiła się — podniecający »spectacle«, dla Anglika: walka kogutów skończyła się; schował do kieszeni wygrany zakład: all right!

I byłyby wszystko tem podłem, marnem »all right« i wszystko w jak największym porządku, gdyby było można w tym rozkawałkowanym, krwią broczącym materyalnym organizmie nieszczęsnego ludu, utłuc Duszę jego!

Słuchajcie bracia niemieccy, współtowarzysze i współbojownicy w »świętej« Wojnie o Byt Duszy Narodu:

Przez całe piekło upokorzeń przewłóczono ją, nie zaoszczędzono jej, tak kiedyś bogatej w swych podwojak najmoźniejszych tej ziemi ugaszczającej Duszy Polski, żadnego upodlenia i sponiewierania, a na nic wszystko: wielka, dumna i wiekuista z popiołów powstawała — wpakowano ją do podziemnych kazamatów, kazano jej zdychać straszliwym głodem wolności, wysychać z pragnienia za odrobiną rzeźwiącego powietrza — na nic! Wciąż od nowa gruchotała jej pięść marne deski trumny, w której ją gwałtem, żywcem

pochować chciano, wydobywała się z grobu i na świat cały obwieszczała przeolbrzymim głosem, że »jeszcze nie zginęła«.

O Polsko, moja Polsko!

Nauczyła się w głębokich pieczarach, w jakich ją zamurowano, grzebać wśród niesłychanych trudów podziemne ganki, wkopywać się coraz głębiej aż do onego najświętszego Przybytku, w którym jeszcze żarzące się iskry pragnienia Wolności tliły, a z tego podpopielnego żaru, syconego powoli skrzętną i bezgraniczną miłością, wybuchł nagle olbrzymi płomień, który z zacieklą mocą w niebo Wolności wystrzelił.

15 Grudnia 1828 roku zebrało się na przypadkowym zebraniu paru młodych mężczyzn ze szkoły podchorążych w mieszkaniu swego instruktora Wysockiego.

I ci »politycznie« wprawdzie niedojrzali, ale bezprzykładowym ogniem poświęcenia i ofiarności rozżarzeni młodzieńcy, to byli ludzie przyszłej rewolucji. Dzień później założyli związek, a w styczniu następnego roku przystąpiła do nich garść cywilnych osób, po większej części ludzie miernego wykształcenia — jeden tylko wyrastał o całą głowę nad nimi: Maurycy Mochnacki. I on to stał się duszą Związku.

I już rozważano szanse, czyby nie było dobrze, odrazu podczas rosyjsko-tureckiej wojny powstaniem rozpocząć, ale ostatecznie zwyciężyła rozwaga, iż trzeba dalszego rozwoju wypadków odczekać.

Mogła sobie jeszcze Europa z tych młodzieńczych zapaleńców kpić, może nawet na to wszystko najmniejszej uwagi nie zwracała, bo skądżeż mogła pojąć, że znalazła się garść zatracieńców, w których mogła się taka szaleńcza chuć wolności objawić — i Europa albo nic nie wiedziała, albo też wiedząc, śmiejąco się, wyczekiwała.

A trzeba było wyczekiwać mimo złowieszczych pomruków nadchodzącej burzy.

Niesłychany, ohydny, barbarzyński rygor, w jakim Konstanty, starszy brat Mikołaja I, namiestnik Kongresówki wojsko polskie żelazną pięścią kata utrzymywał, podłe, przebiegłe, podstępne węszenie najdrobniejszego objawu ruchu wolnościowego ze strony Polaków przez złego ducha Polski, Nowosilcowa, utrudniało niezmiernie podziemną pracę spiskowców.

Ale już ognia nie było można zagasić, a wzmocnił się i spotężniał wieścią o lipcowej rewolucyi we Francyi. Wieść ta zaelektryzowała Związek: jakby weń nowe życie wstąpiło, świeża krew się rozlała — postanowienia dojrzewały — ogień coraz głębiej i szerzej się rozsadowiał, a w niedługim czasie przystąpiło do Związku 70-ciu oficerów z garnizonów warszawskich.

Kotłowało się i wrzało w wojsku polskiem i tylko z trudem zdołały rozważniejsze warstwy społeczeństwa polskiego powstrzymać rozpedzony prąd naprzód gwałtownie pracęj woli do wyzwolenia i na chwilę go zatamować.

A tymczasem był gniew i rozterka między oboma braćmi wodą na młyn spiskowców. Konstanty, który na rzecz młodszego brata zrzekł się tronu, czuł się jako jedyny i prawomocny monarcha Korony Polskiej, i z coraz większą zajadłością bronił swych wrzekomych praw. Pokrzyżował plany swego brata Mikołaja I, gdy tenże chciał wysłać wojsko polskie, by na nowo Burbonów osadzić na tronie francuskim, a równocześnie kazał generałowi Prądzyńskiemu wypracowywać plan, w jaki sposób najskuteczniej pokonać Prusy — a na tronie Prus osiadł był wtedy Fryderyk Wilhelm III, teść Mikołaja I!

A ten brutalny, nawpół zezwierzęcony paranoik, którego barbarzyńską dzikość z wielkim trudem poskramiała jego polska małżonka, Joanna Grudzińska — on który tylu oficerów polskich haniebnym swem postępowaniem popchnął do samobójstwa, on kochał na swój sposób swoje piękne, swoje z żadnym innym nie dające się porównać wojsko — kochał je i czuwał nad niem zazdrośnie, bo chciał je przeciwko Prusakom poprowadzić.

To była jedyna uporczywa »idée fixe« Wielkiego Księcia Konstantego.

A tymczasem parło wszystko z gwałtowną szybkością do rozwiązania i rozstrzygnięcia. Wypadki następowały po sobie z piorunującą, żelazną logiką. Zaledwie ochłonęła Europa z niepokojącej lipcowej rewolucji, a tu nagle wybuchła wrześniowa rewolucya

w Belgii: teraz przysła kolej na Polskę, a losy wojska polskiego jęły się poważnie ważyć na jedną i drugą stronę.

Mikołaj pienił się z wściekłości na Jakobinów — stratować, w ziemię wdeptać, w całym morzu krwi chciał splewić te przekłete rewolucyje — z coraz gwałtowniejszą nahałnością napada na swego pruskiego teścia, by wraz z nim raz koniec położył tym bezeceństwowi, a podczas gdy kadry spiskowców coraz więcej się wypełniają — liczono już teraz przeszło 200 oficerów warszawskiego garnizonu, podczas gdy Konstanty ślęczy w coraz większym natężeniu nad planem Prądzyńskiego, by ostatecznie zmiążdżyć Prusaków, oznacza Mikołaj termin, w którym ma nastąpić wymarsz wojsk polskich, aby uśmierzyć na Zachodzie rozruchy rewolucjonistyczne.

Teraz tylko Czyn mógł być Zbawieniem! Ani chwili czasu nie było do stracenia. Termin wymarszu (22 Grudnia) zbliżał się coraz więcej, a paroksyzm gorączki opanował wojsko polskie i całą ludność Warszawy. Teraz nie było można, nie wolno było nawet dłużej czekać: w nocy 29 listopada opanowali spiskowcy Belweder — Konstanty uratował się z ciężkim trudem ucieczką, a raczej pozwolono mu się ratować, bo ślamazarna rycerskość podchorążych nie pozwalała im konać ręk książęcą krwią — i w tej jednej bohaterkiej nocy została Warszawa od Rosyan oczyszczoną,

a gdy słońce weszło, powitał je radością pijany, dreszczami najwyższego szczęścia wstrząśniony naród!

Wolność! Wolność!

Było to, jakby nagle kra puściła, która najsilniejsze filary mostów zrywa, jak gdyby nagły wybuch wulkanu, niesłychane jakieś żywiołowe zjawisko, które wszystkie prawa natury na ręby wywraca i nowy porządek rzeczy tworzy.

Ludzie taczali się jak pijani po ulicach — w długim niewolnictwie odzwyczaili się pewnymi krokami po wolnej ziemi stąpać — wylęknieni i niespokojni patrzyli ku niebu — już dawno zapomnieli, jak wygląda niebo, nad wolną ziemią roztoczone — trzeba było sobie oczy przecierać, aby sobie uświadomić, że wolność przestała być snem, że jest teraz jawą, — rzeczywistością, która najśmielsze sny przerasta, ponad wszelkie wymarzone szczęście daleko sięga, a ani sposób pojąć, że Słowo Ciałem się stało: nadmiar szczęścia rozpierał piersi, że jego ogromu objąć nie mogły, a do ciemności podziemnych kazamatów przyzwyczajone oczy ślepy od strasznego blasku Słońca-Wolności!

Wolność!

Śmiem twierdzić, że u żadnego narodu nie posiada to słowo tak niesłychanego znaczenia, jak właśnie u Polaków. To właściwie nie jest już słowo, ani pojęcie, wolność jest najistotniejszą i najgłębszą zawartością życia Polaka i jego najwznioślejszą religią. Bo-

ga nie potrzebuje tak dalece dla zbawienia swej duszy — bo cóż go może obchodzić zbawienie w sromie niewoli — Bóg ma być dla niego pośrednikiem w osiągnięciu wolności.

Już lepiej być po śmierci skazanym na wszystkie męki piekielne, jak żyć tu na ziemi w hańbiącej niewoli. A jeżeli się do Boga woła, który przez tyle wieków otaczał potęgą i chwałą, a jeżeli się go o coś prosi, to o to tylko, by wysłuchał onego głosu, co ku niemu z dymem pożarów i z kurzem krwi bratniej bije — tarza się Polak przed nim i kaja się z wdzięcznością, jeżeli mu wolność swoją łaską ozłaca, a klnie mu, jeżeli pozwala wrogom jego plecy basałykami siepać.

Daleko większą czią otaczana jest Najświętsza Panienska jako Królowa Korony Polskiej, aniżeli jako Matka Boża, a najświętszym z papieży to on, który Polakom, proszącym go o relikwie powiedział: Na co Wam relikwii? weźcie grudkę waszej ziemi, krwią męczenników przesiąkniętej, to wasza relikwia!

Wolność to stały, niewzruszony bieg, naokoło którego wszystkie myśli Polaka, jego sny i pragnienia wirują, i naokoło tej jednej osi, krąży świadomie czy nie świadomie wszystko, co zawartość jego duszy stanowi. Polakowi było danem, wykosztować wszystkie rozkosze wolności aż do dna — była, przecież Polska jedynym krajem w Europie, który do samego końca pozostał wolną republiką i nigdy nie zaznał absolu-

tyzmu — i Polakowi dostało się w udziale przeżywać wszystkie szatańskie męczarnie, gdy wolność utracił.

A to chyba aż nadto zrozumiałem, że całkiem co innego oznacza wolność dla wół dzikiego narodu, który jedynie tylko w głuchem poczuciu wolności o byt swój walczy, a co innego dla już świadomie wolnego narodu, który zażarte toczy walki z tyranią i samowolą swego rządu — a cóż dopiero mówić o poczuciu wolności u narodu, który rozpiekał się w bezkresnem państwie absolutnej swobody i wolności, a teraz nagle we wszystkich prawach pogwałcony, kajdanami niewoli spętany został!

I to do tego naród z przebogatą, chwałą i blasku pełną przeszłością, starą wytworną kulturą, naród, który był ongi dla całej Europy potężnem przedmurzem, o które się najwścieklejsze bałwany barbarzyńskiego i pohańczonego Wschodu na pianę rozbijały, naród, którego kraj był chramem dla wszelakiej wolności sumienia!

I straszliwe Dantejskie »ne sun maggior dolore di ricordarsi di tempi felice nella miseria« dało polskiemu pojęciu wolności przepastny tragizm i podkład najboleśniejszych cierpień; barbarzyński bestyjalizm, z jakim się Moskale nad podbitym narodem pastwili, spotęgował pragnienie wolności aż do zacieklej, obłąkanej chuci, w której nie było miejsca dla trzeźwych obrachunków, ani przystępu dla jakichkolwiek rozumowych wywodów, a w ekstatycznej miłości ku na

kawałki rozdartej ojczyźnie, dla której najkosztowniejsza ofiara wdowim groszem się wydawała, najstraszliwsze męczarnie, dla niej ponoszone, rozkosz sprawiała, a śmierć i zniszczenie było jeszcze najlichszą daniną na jej ołtarzach — w tymto po przez wszelkie granice przelewającym się fanatyzmie miłości ku ojczyźnie osiągnęło pojęcie wolności Polaka oną świętą i szczytną wyżynę, ku której inne narody z podziwem spoglądały, oną pomazańczą kapłańską dostojność, która kolana ugiąć kazała i on kipiący żar, który najtwardszy pancerz serca stapał.

To wydaje mi się być przyczyną tego głębokiego zdumionego i podziwiającego szacunku, jakim cała Europa bohaterskich »Morituri« otaczała, przyczyną gorączkowego napięcia, z jakim śledziła każdy etap tej świętej wojny, która się rozgrywała między garścią śmierci poświęconych fanatyków miłości i wolności, a olbrzymim krwi chciwym, oprawczym Molochem, — przyczyną gorącego entuzjazmu, z jakim Europa witała każde zwycięstwo Polaków i przyczyną głębokiej depresji i bolesnego współczucia, jak już bohaterskiemu plemieniu sił nie starczyło, a stokrotna przemoc oberwaną chmurą zagłady zwała się na polskie zagony.

Ale nigdzie w całej Europie nie odezwał się polski Dzwon na trwogę tak potężnym echem, jak właśnie w Niemczech, nigdzie nie przeżywano śmiertelnego boju bohaterskich zastępów tak silnie i głęboko i współczująco i nigdzie nie znalazło to współprzeżywa-

jące uczucie kosztowniejszego i szlachetniejszego wyrazu, jak w bohaterskich pieniach sąsiednich Niemiec na cześć i chwałę Polski i to w czasie wszechwładnego panowania bezwzględnej cenzury i podczas gdy wokół areny walki na wysokich balkonach rozsiadły się gabinety rządów europejskich i zimną ciekawością rozważały szanse nierównej walki.

Z początku wszystko się dobrze zapowiadało i wróżyło listopadowemu powstaniu powodzenie.

Rosya była zaskoczona, nie spodziewała się powstania.

Ale gdy już miecza dobyto i trzeba było dawno pochwę odrzucić, zamiast zorganizować ogólne narodowe powstanie, zabawiano się w dyplomacyę i manizgowano na niczem kosztowny czas. I znowu była ta układna, słodziutka Francya — Polski nieszczęsne zaślepienie — od której spodziewano się poparcia i silnej pomocy, a Francya oczywiście sypała jak z rogu obfitości przyrzeczenia i bezustanne zapewnienia jak najwierniejszej, sojuszniczej wspólności. Chłopicki, nieustraszony lew z pod Saragossy, dzielny generał pod wodzą Napoleona został dyktatorem. Ale co innego było wykonywać ślepo rozkazy geniusza, a co innego samodzielnie działać. Waleczny i bohaterski, dopóki go wola Boga Wojny hipnotyzowała, okazał się niedołążny i bezdarny, gdy mu naród swoje losy powierzył. Nie dorósł do tego brzemienia, którego zresztą dźwigać nie chciał i przed nim się krył i złożył go czem-

prędzej na barki sędziwego starca, księcia Michała Radziwiłła, który aczkolwiek był gorącym patriotą, ale o wojnie nie miał najmniejszego pojęcia. Dano mu do pomocy dzielnego Skrzyneckiego, na którym atoli ciążyło przekleństwo służby pod Napoleonem: brak samodzielności i własnej inicjatywy.

I teraz dopiero ochłonęła Rosya z pierwszego, bezradnego zdumienia i wysłała silną armię pod Dybiczem w pospiesznych marszach ku Warszawie, i teraz dopiero ocknęła się Warszawa z radosnego szału i upojenia nad co dopiero zdobytą wolnością, wolnością, która się już pod wpływem syreniej fletni Francyi i wspaniałomyślnych zapewnień Anglii wydawała być już trwałą zdobyczą.

Ocknęła się Warszawa, ale już za późno.

Zapóźno przejrzała, że od samego początku trzeba się było zdać na własne swoje siły, z niemi się liczyć i w nich tylko całe zaufanie i wszystkie nadzieje pokładać — coraz cieńszym dyszkantem wyciągała Francya swoje miłosne trele — Ludwik Filip drżał na myśl, że rewolucya w Polsce mogłaby się i na Francję przeczucić i jednym zamachem zmieść go z tak czy tak już trzeszczącego tronu, Anglicy również wymiarkowali, że na tej całej awanturze nie zarobiliby ani jednego shilinga, i tak została Polska sama i na pastwę losu rzucona.

I teraz, gdy już wszystkie nadzieje zawodzić zaczęły i łuska z oczu spadła, okazał się cały niezłomny

hart duszy polskiej w królewskim blasku. Począł się sprawdzać odwieczny aksyomat, że silny jest najsilniejszym, gdy jest sam: przerwano wszystkie dyplomatyczne rokowania z Rosyą, 20 stycznia 1832 zrzucano z tronu polskiego po wszystkie czasy dom Romanowów — pod Dobrem stawił Skrzynecki czoło czworakiej przemocy wroga, pod Stoczkiem odniósł generał Dwernicki świetne zwycięstwo nad niesłychaną przewagą nieprzyjacielską, pod Wawrami musiał się hrabia Pahlen cofać z swoją pięćkroć razy od polskiej silniejszą armią, pod Grochowem został najpiękniejszy regiment jazdy Dybicza doszczętnie zniszczony, a rozjuszony szturm, jaki Dybicz na Warszawę przypuścił, został bohatersko odparty.

Europa nie wychodziła z podziwu nad niesłychanem, nieprawdopodobnem, bo w dziejach dotąd nieznanem męstwem, z jaką ta chrobra garść — bo garścią można było nazwać siły polskie w stosunku do rosyjskiej nawałnicy — z potężnym wrogiem walczyła, i w całej Europie zerwał się orkan najgorętszego zapamięta i uwielbienia dla wolnościowej sprawy Polski. Ludy wywierały silny nacisk na swoje rządy, by szły Polsce z pomocą, tu i owdzie odzywały się głucho pomruki gróźb, skierowane ku panującym, którzy obojętnie przypatrywali się śmiertelnym Polski zapasom, wszędzie odzywały się głośnie wołania o wyswobodzenie Polski, a gorący golf współczucia, najusilniejszej zachęty do wytrwania, najgłębszego braterskiego

zrośnięcia się z sprawą wolności rozlał się szeroko po Polsce. Niemcy i Francuzi bratali się z Polakami, a gdyby piękną bajkę z dawno już zamierzchłych czasów czyta się niemieckie i francuskie pieśni, ubóstwiający wprost bohaterskich Polaków — pieśni, w których wszystko to, co było najszlachetniejszym w duszy tych narodów znalazło gorący i do głębi przejmujący wyraz.

I na nowo odżywały wśród Polaków nadzieje na pomoc Europy: rodziła się pewność, że Europa »świętej« sprawy nie opuści, że przecież nie odda wolnego ludu w ręce krwawych, katowskich oprawców i przecież w tych niesłychanych wysiłkach jego, by wolność odzyskać, musi mu przyjść z pomocą — zbrodnią byłaby obojętność — a te wszystkie nadzieje, te przeświadczenia o wspaniałomyślności Anglików i Francuzów stały się do tego stopnia pewnikiem, że nieszczęsny Skrzynecki, który w międzyczasie został obwołany dyktatorem, marnował miesiące najkosztowniejszego czasu na układach i rokowaniach, zwycięstw swoich wyzyskać nie umiał i zmarnotrawił na naiwnej ślepej i jałowej dyplomacyi wszystko to, co bohaterstwo polskiego oręża już było uzyskało.

Straszne było przebudzenie z tego zdumiewającego zaślepienia!

Bóg za wysoko, Francya za daleko!

Prusy zapakowały co najgorętszych zapaleńców sprawy wolnościowej do więzień, cenzura bezwzględnie

z zaciętą surowością niszczyła wszelki objaw sympatii i współczucia (porównaj »Epilog« hr. Platena: Der mörderische Censor lümmelt mit meinem Buch auf seinen Knien, und meine Lieder sind verstümmelt, zerrisen meine Harmonien) a Anglia wystosowała do cara — przez kilkadziesiąt tysięcy Anglików podpisany zbiorowy protest: wspaniały przykład angielskiego »Cant« — zmarły, a wielce figlarny kustosz muzeum Rapperswylskiego Rosenwarth de Różycki porobił z niego papierowe różyczki nad drzwiami sal muzealnych.

Teraz pozostała Polska sama i beznadziejnie opuszczona.

Zapóźno przejrzał Skrzynecki i za późno zerwał się do czynu. Przeciwno nowej rosyjskiej armii, nad którą po śmierci Dybicza objął główne dowództwo rozjuszony oprawca Paszkiewicz, wyprowadził w pole swoje męzne, nad wszelki wyraz chobre i śmierci i zagładzie urągające wojsko. Klęska pod Ostrołęką przypieczętowała mimo najzacieklejszego męstwa wojsk polskich ostatecznie losy Polski. Rozwiały się sny o wolności, huragan moskiewskiej nawałnicy wyrwał z korzeniem ono drzewo, z którego teraz jęły gradem listki opadać, a nad mogiłą śpiewało tęsknie jakieś ptasze polne:

»Nie było, nie było, Polsko dobrze Tobie,
Wszystko się prześniło, a Twe dzieci w grobie«.

W krótki czas potem padła Warszawa, którą prawie bez walki oddał Moskałom Ephialtes Krukowiecki

i dośnił się do straszego, rozpaczego końca złoty sen o wolności.

A wielki Niemiec, Franciszek Grillparzer zgrzytał zębami po upadku Warszawy:

Was glaubtest Du auch, Stadt der edlen Toren,
Die Welt, sie nehme Teil an deiner wahren Not?
Als neuer Luculli Gladiatoren,
Genoss man euren Sieg, genießt man eueren Tod.

A zaprawdę było to nielada jakie widowisko, jakie Polska Europie sprawiła!

I ten sam Grillparzer wystosował pod adresem Anglików tę wściekłą, szyderczą apostrofę:
Ihr Briten auf! es gilt Smyrnenser Trauben,
Oporto-Wein, Brabanter-Linnen — auf!
Frankreich will Euren Freund, Don Miquel berauben,
Lasst zehn, lasst zwanzig Orlogschiffen Lauf!
Ihr Brutusse mit Pfeffermünzdüt' und Elle,
Gerecht nur gegen Euch, und das nach filziger Norm,
Schreit nicht das Volk an Eurer eigenen Schwelle?
Es ruft nach Brot und Ihr gebt ihm Reform!
Wär Warschau hingebaut am Meeresstrande,
Und wüchse Zimmt, wo jetzt nur grüne Saat,
Ihr fühltet mächt'gere Verwandtschaftsbande,
Und Polen stünde frei, ein Volk, ein Staat!

Niesłychanie pouczająca ta książka, zawierająca pieśni o Polsce — nie tylko dla Polski samej...

Takiej politycznej emigracji, jaką była polska emigracja po 1831-ym roku, Europa jeszcze nie widziała. Francya przypomniała sobie wreszcie, że ma pewne obowiązki do spełnienia wobec narodu, który cały swój najbogatszy kwiat — przeszło dwieście tysięcy swoich najdzielniejszych synów, którzy podczas dwudziestoletnich wojen Napoleońskich na wszystkich polach bitew w Europie swą krew przelewali — dla chwały, potęgi i wielkości Francyi był poświęcił. Izby ustanowiły fundusze dla utrzymania tymczasowego emigrantów i dały solenne zapewnienie, że naród polski nie zaginie.

Jaki nadmiar wspaniałomyślnej wdzięczności!

I tak rozsypały się resztki wojska polskiego po całej Europie, bohaterskiego wojska, do którego Oswald Marbach zwrócił płomienne słowa swej pieśni:

»Du kennst nicht Furcht, noch Bangen,
Du bist durch Tod zur Freiheit eingegangen!
Du bist besiegt, doch bist Du nicht bezwungen!
Denn Freiheit hat, wer für sie stirbt, erungen!«

Istotnie pomarli za wolność, ale w proroczym uniesieniu przepowiada Polakom niemiecki poeta rychłe wskrzeszenie:

»Aus Deinem Grabe wirst Du neu erstehen,
So oft ein Volk zum Freiheitstode geht!«

Czyżby się już teraz miało ziścić natchnione proroctwo niemieckiego wieszczka? Przecież, jeżeli kiedyś, to teraz właśnie walczy naród niemiecki w tej »świę-

teju wojnie o swoją wolność, o byt swej duszy, który przeolbrzymia zlej Mocy chciałaby skruszyć i zgruchotać, a ramię przy ramieniu walczą również Polacy w imię godła, które tylekroć razy tam jaśniało, gdzie się o tę świętą sprawę walka toczyła: Za naszą i Waszą wolność!

Ku Francji zmierzał milczący, rozpaczny Exodus poprzez niemieckie pola, wsie i miasta, — miasta, z których jedno drugie starało się wyprzedzić gorącą gościnnością w podejmowaniu wychodźców i nawzajem się prześcigały w okazywaniu im głębokiego hołdu i czci.

Przyjęcie Polaków w Niemczech było jedną przeolbrzymią manifestacją najszlachetniejszych instynktów w duszy narodu niemieckiego, gorącym protestem przeciwko pogwałceniu wolności, przeciw onemu niesłychanemu bezprawiu, z jakim dzika horda Mongołów wpełchnęła w jarzmo niewolnictwa szlachetny i kulturalnie tak wysoko stojący naród. Głębokie poczucie sprawiedliwości, tak silnie zakorzenione w duszy narodu niemieckiego rozpałało się gorącym oburzeniem przeciwko ohydnej przemocy, która wbrew wszelkim prawom ludzkości i narodów, zmiążdżyła bezbronny prawie naród, którego wstawką w tej nierównej walce było tylko jedynie gołe życie; i szlachetne poczucie moralności i sprawiedliwości narodu niemieckiego wylądowało się w bezmiernym entuzjazmie dla pokonanego ordynarną i barbarzyńską przemocą na-

rodu polskiego, a jednak nie zwyciężonego, bo dusza jego gorętszym jeszcze życiem płonęła, niż kiedykolwiek — entuzjazmie, współczuciu i podziwie, jaki się może jeszcze żadnemu zwyciężonemu narodowi nie dostał w udziale.

Książka zawierająca »Polnische Lieder der deutschen Dichter« daje daleko głębsze wyjaśnienia o psychologii duszy narodu niemieckiego, aniżeliby mogły je dać całe tomy Historji Powszechnej.

Bo to nie byli tylko najszlachetniejsi narodu, cały jego wykwit, którzy tak gorąco w świętem gniewie nad obojętnością rządów, w niesłychanym zapale i uwielbieniu sprawą polską się zajmowali — to nie tylko Anastazyusz Grün, Grillparzer, Mikołaj Lenau, Freiligrath, Herwegh, Ortlepp, Platen, Uhland, Chamisso, — i jak oni się wszyscy — zaiste najpiękniejszy wykwit duszy niemieckiej — nazywali — cały naród niemiecki brał jak najgorętszy udział w nieszczęsnych losach Polski.

Pochód emigracji polskiej przez Niemcy był jednym olbrzymim, tryumfalnym pochodem, jakiegoby nawet zwycięskie wojska nie zagnały.

Napróżno chciały mu rządowe koła tamę stawiać i mu przeszkadzać. Wola narodu przelamała wszystkie zapory.

Polska stała się symbolem Wolności, a jej rozpacze, śmiertelne zapasy o Wolność uczyły narody, jakie ofiary za to najwyższe dobro ponieść trzeba. Rok

1831 użył ziemię, na której weszła bogata ozimina roku 1848-go w Niemczech!

Dawno przebrzmiały już te czasy — szkoda, wieczna szkoda dla sprawy istotnej wolności, która w gruncie rzeczy tą samą została, tylko swą zewnętrzną powłokę zmieniła.

A może się mylę — może dusza niemiecka tak samo odczuwa jak w onym świętym i błogosławionym roku!

Pewno jest jeszcze aż nadto dużo Niemców, którym radość i duma serca rozpiesza, gdy dostaną do ręki te wolności spragnione pienia, pewno ogromny jest jeszcze zastęp tych Niemców, którzy w tym zwierciadle ujrzą najistotniejsze oblicze swej duszy!

A zaiste książka ta, którą bezustannie wertuję, to najbogatsza puścizna duszy niemieckiej z przed niespełna stu laty: bogaty, dostojny testament szlacheckich przodków, przekazany wnukom i prawnukom, którzy przepojeni czasową potęgą i wielkością aż nadto pochopnie starają się wymijać miliaria, pod którymi spoczywa najwyższe prawo duszy narodu:

Prawo czci i szacunku i rycerskiej powagi wobec straszliwych, męczeńskich usiłowań wszelkiego, choćby najbiedniejszego narodu, by wywalczyć sobie samoistne prawo Bytu, by przedrzeć się z czelustnej ciemności piekła Niewoli ku słońcu Wolności!

A był przecież czas, gdy Niemiec, duchowy pobratymiec Polaków, Ernest Ortlepp z rozpaczą zawodził:

»Ach Polenland, ach Polenland,
Dass wir Dir ferne stehen!
Es flammt der Geist, es zuckt die Hand,
Mit Dir zum Kampf zu gehen!«

A przecież tak doszczętnie nie zatarł swego piętna w duszy narodu niemieckiego on czas, w którym się hrabia Platen do Niemców w te słowa odezwał w testamencie Polski do Niemców:

»Wir gehen zu Grab' erschöpft und lass,
Nach manchem Kühnen Strauss
Und atmen unseren Russenhass
In Eure Seelen aus.
Doch Ihr, gewarnt durch unsere Qual
Seis' morgen oder heut
Oh, seid nur noch einzig Mal
Das alte Volk des Teut!«

Spełniły się pragnienia Platena, trochę późno, ale ziściło się jego wołanie, by raz przestał naród Teuta kumać się z Mongołami.

Wciąż przewracam kartki tej książki i podziwiam bogaty skarbiec duszy niemieckiej — wydaje mi się, że go przez jakiś czas wstydliwie ukryła, ale — czyżbym się mylił? Nic nie stracił z dawnego blasku, jakim się mieni w bogatym rozprysku światła poemat Ludwika Uhlanda, zwrócony do najwyższego wieszczu Polski, Adama Mickiewicza — poemat-pieśń, a raczej wiekopomny dokument prawdziwie męskiej

mocy duszy Niemca, w której zwycięska fanfara:
»Deutschland, Deutschland über alles!« doskonale się
godzi z głębokim uznaniem i zbożną czcią dla wiel-
kiego hymnu Wolności:

»Jeszcze Polska nie zginęła!«

Tylko silni i mocarni nie skąpią słabszym wol-
ności — na to tylko Silnych stać!



II.

Błogosławione »Ongi« — a tymczasem upłynęło tyle mizernych lat dziesiątek!

Jeszcze w 1848 roku śpiewano w Niemczech pieśń o »Tysiącu Walecznych«, którzy pod generałem Sowińskim, najwięcej bohaterskim z wszystkich, Pragi bronili — wielki bohater o drewnianej kuli padł prze-szyty bagnietami rosyjskimi — jeszcze w czasach rewolucyi śpiewano w Berlinie, Lipsku, Sztutgarcie, Frankfurcie i Wiedniu pieśni o walecznym Łagience i o dziel-nym Dwernickim, który z Wołynia zdumiewająco od-ważnym marszem — jednym z najciekawszych i naj-śmielszych czynów strategicznych w historii nowocze-snej — uratował przeprawą na ziemię austryacką sześć tysięcy żołnierza polskiego — jeszcze w 1863 wspomi-nano melancholijnie słowa Napoleona, które do Pola-ków wystosował: »Od lat szesnastu widzę Was na wszystkich polach bitw i we Włoszech i Hiszpanii — kocham Was!«

To ten sam Napoleon, który dał swemu ambasa-

dorowi w Warszawie de Pradt wskazówkę, aby Polaków równocześnie podniecał i powstrzymywał, nadzieje wzniecał, ale żadnych obietnic nie dawał, podżygiwał ambitnych i w ostudzonych zapał wzniecał...

De Pradt nie dał się użyć do tych podstępnych machinacji.

Ale to tylko mimochodem: wiarołomnemu Napoleonowi pozostali Polacy wierni daleko poza grób jego — nigdy Polska wierności nie złamała nawet temu, który ją podszedł i oszukiwał. Nigdy wierności nie łamała, chociaż doprawdy nie miała powodu uskarżać się na wdzięczność narodów.

Gdy Rosya w 1792 roku chciała wyciągnąć na Francję i zmiażdżyć Rewolucję swoim barbarzyńskim »walcem«, zdobyła się Polska na tą niesłychaną energię — pomna swego krwawego zadania służby przedmurza przeciw Wschodowi — aby się rzucić na Rosję i unicestwić grożący zagładą zamach na młodą republikę. Polska skonała w straszliwej męczarni, zdradzona i sprzedana przez własnego króla i swych magnatów, ale uratowała republikę francuską od całkowitego zalanania jej i spustoszenia przez hordę mongolską.

Teraz już nie było trudno dla Francji odnieść zwycięstwo nad całą koalicją — i cóż ją teraz mogła sprawa polska obchodzić?!

Haniebne!

Ani w traktacie Bazylejskim (1795) ani w Lunewille (1801) Francja nie uczyniła ani jednego kroku,

by Polsce przyjść w pomoc, ani jednym słowem nie przemówiła na korzyść Polski, a 1831 roku francuski minister spraw wewnętrznych Sebastiani obkpiwał cynicznie Polaków, a raczej rząd prowizoryczny w Warszawie, wodził go tą łotrowską taktyką do tego, że zaniechano wyzyskać bogaty plon zwycięstw.

Ta sama chytra i podstępna gra, którą i obecnie Francuzi i Anglicy z Polakami uprawiają — a niestety dosyć takich, których historia nic nie nauczyła.

I cóż się ostatecznie dziwić?

Jeżeli czegośkolwiek ze strony tak sprawiedliwej duszy narodu niemieckiego dla narodu ujarzmionego wymagać można, to przynajmniej tą dobrą wolę, by zechciała jeden fakt zrozumieć:

Naród, który przez całe stulecia ledwie dyszy pod jarzmem sromotnej niewoli, czepia się z natury rzeczy chociażby drobnej słomki nadziei, jaką mu daje choćby podstępne, nawet całkiem nieprawdopodobne przyrzeczenie. Może nawet wie, że to podstęp i ułuda, aleć to zawsze błysk światła, który się przedrze do ciemnic więzienia.

Niemcy po Jenie zdołałyby zrozumieć ten prosty fakt psychologiczny, a czyżby Sedan miał do tego stopnia zaślepić ich oczy, by nie były w stanie zrozumieć, co się w duszy ujarzmionego narodu teraz dzieje?

Charakterystyczne, polskie przysłowie opiewa, że tonący brzytwy się chwyta: każdy Polak wie, że pro-

klamacya Mikołaja Mikołajewicza nie ma znaczenia »ukazu« i wskutek tego żadnego praktycznego zastosowania, ale w każdym razie była ta proklamacya czemś, czego się chora, rozpaczna nadzieja na śmierć skazanego narodu czepiać mogła.

I właśnie ten psychologiczny fakt jest niesłychanie ciekawym momentem w odpowiedzi na natrętne pytanie, dlaczego w Królestwie Polskiem nie wybuchło powstanie, a jeżeli już się myśli o powstaniu polskiem, to oczywiście oczy na Warszawę się zwracają — ale, aby całą psychologię narodu polskiego w obecnym czasie zrozumieć, trzeba się o jeden dziesiątek lat cofnąć wstecz...

W rozpacznych zakusach rewolucyjnych roku 1905/1906, w olbrzymich z góry już na zagładę skazanym zapasach wolnościowych żywiołów, tak w Polsce jak i w Rosyi z rządem rosyjskim, kolosie, w którego gliniane nogi właśnie rząd niemiecki dla powstrzymania wbijał sztaby żelazne, straciła Polska swoją najbujniejszą, najrdzenniejszą siłę.

1831 oplakiwała tysiąc »Walecznych«, teraz przyszło jej rozpaczać nad czterdziestotysiącami najszlachetniejszych swych dzieci, dla których całe życie nic innego nie znaczyło, jak tylko bezustanne poświęcanie się dla ojczyzny, którzy w miłości dla niej wszystkie swe siły w ofierze składali i rozrzutnie nimi szafowali... Gdyby byli jeszcze poginęli na polu chwały, gdyby było można jeszcze krzyże na ich bohaterskich

mogiłach postawić, gdyby było można z dumą, jak ongiś, na groby męczenników za sprawę wolności wskazać — ale gdzieżtam! Polska rozpacza nad czterdziestotysiącami »Zagubionych!«

Teraźniejsza wojna dała przedsmak tej męki wy-czekiwania niejednej familii, która o jakimś członku została powiadomiona, iż »się zagubił«.

To tysiąckroć razy gorsze, aniżeli pewność śmierci, albo też wzięcia do niewoli.

A to »zagubiony« ma w Rosyi jeszcze osobne, specjalne znaczenie.

A z tych czterdziestu tysięcy najczynniejszych, najczęściej ofiarnych i najgoręcej sprawie wolności poświęcających się synów Polski, nie dużo zdołało się wyratować na dzienne światło, na szczęście jeden, w którym polska idea wolnościowa najmocarniej się ucieleśniła: generał Piłsudski, bohaterski, czci najwyższej godny twórca obecnych Legionów Polskich.

A jeżeli ci inni, dawno już »zagubieni«, »beziemienni« nie mogli dorównać Piłsudskiemu bogatym uposażeniem, które tylko geniusz daje, to w każdym razie płonął w ich duszach żar tego samego poświęcenia, do najcięższych ofiar zdolnej miłości i w niebo wyrastała niezłomna spiszowa wola, by przełamać moc caryzmu — opętani byli tą wolą — »opętani« w najświętszem tego słowa znaczeniu.

Na górze Tabor stracili Czesi całą swoją szlachtę — rok 1905/1906 oznacza dla Polski daleko więk-

szą stratę: czterdziestotysiącami »Zagubionych« straciła Polska swoją dumną gwardyę — fanatycznych strażników świętego »Znicza«: idei Wolności i Niepodległości — straciła Polska niezłomnych ksiąząt, pomstą za krzywdy i zbrodnie dyszących Centurionów, wokół których młodź polska z równym zapalem i miłością się garnęła, z jaką teraz się garnie wokół ubóstwianego swego wodza, generała Piłsudskiego.

Miarą olbrzymiego, zdumiewającego czynu, jakim Piłsudski w niesłychanym trudzie i znoju stworzył niezłomną siłą swej potężnej woli polskie legiony, można w przybliżeniu ocenić stratę tych, którzy byli duchem jego ducha, — nie dorastali mu geniuszem, ale równi mu byli miłością, zaparciem się siebie i bezgraniczną ofiarnością.

Cześć tym zaginionym — tym bezimiennym!

Rewolucya z roku 1905-tego przypieczętowała znowu na długie lata polską ideę wolności i niepodległości: bogate żniwo, które wyrosło na krwią polską użyźnionym gruncie z 1863 bezlitośnie zostało stratowane.

Ale aby to zrozumieć i cały proces późniejszego rozwoju politycznego, trzeba się znaleźć w Warszawie w historycznych dniach październikowych.

Nie sposób wyrazić słowami radość, wniebowzięcie, oszołomioną, szczęściem pijaną ekstazę, w jaką popadła ludność Warszawy, kiedy rząd rosyjski całkiem głowę stracił, a nad cytadelą powiewała chorągiew zwyciężkiej Rewolucyi.

Czempredzej obdarzono Polskę Konstytucją, przyznano skwapliwie wolność sumienia i wyznania religijnego, — nikt nie ośmielił się wątpić o całkowitej autonomii Polski — obłąkana niespodziewanym szczęściem wyległa ludność na ulice, śpiewała naprzemian narodowe i rewolucyjne pieśni — a, gdzie się tylko znalazło wolne miejsce, w tej chwili zamieniano je na narodową trybunę, z której nawet niedorośle dzieci w ekstatycznym uniesieniu ducha do tłumów przemawiały — cała Warszawa kąpała się w powodzi białoczerwonych barw, a biały orzeł rozpanoszył się zwycięsko w całym swoim wielkim majestacie na amarcie — hélas! — płótna!

Rosyjskie wojsko zachowywało się cichutko i spokojnie w kasarniach, rzadkie patrole na ulicy salutowały pokornie polskie sztandary, wysocy rosyjscy oficerowie mieszały się z tłumem i witano ich jako braci — istniała przecież tylko jedna parola: »Za naszą i waszą wolność« — wszystkie różnice stanów zdawały się przestać istnieć, odważni i ofiarni kolejarze, którzy wśród niewypowiedzianych ofiar urządzili strajk kolejowy, byli bohaterami dnia, a nawet »porządni«, »rozumni«, »liczący się z przyszłością«, »sceptyczni« obywatele dali się porwać w wir tego wszystko w siebie wchłaniającego Oblędu — zresztą Bóg wie, jak to nazwać — może to były dostojne Gody Weselne?

Na sklepach ulicznych pozrywano rosyjskie szлды, na wolność zostali wypuszczeni polityczni prze-

stępcy, a, zgrzytając zębami cenzura rosyjska, pozbawiona nagle chleba i łapówek, musiała zamknąć swoje przybytki: dziś czyta się dziennikarskie sprawozdania z onych czasów, jakby się przerzucało karty bajd i klechd — ale to, co najnieprawdopodobniejsze dziś i całkiem niepojęte, stało się w onym czasie istotnem wydarzeniem.

Krótko trwające, bolesne wydarzenie...

W tych paru dniach radością opitego szczęścia narodu, który butwił w ohydnych lochach więzienia, a nagle poczuł się w posiadaniu wolności — zdążył rząd rosyjski ster pochwycić.

Ster pijanego statku!

Podczas próby, by bramy ratusza rozwalić i więźniów uwolnić, rzuciła się jazda rosyjska w bezbronny tłum, oczyściła plac przed ratuszem, wtłoczyła bezradną, ogłupiałą ludność w boczne uliczki, a zaciekle zemsta, przed paru godzinami jeszcze obezwładnionego rządu, znalazła sobie teraz ujście w piekielnej orgii rzezi i mordy, godnej zaiste panslawistycznego rządu, który teraz za wolność Słowian przeciwko barbarzyńcom środkowej Europy bezmyślny bój toczy — Rosya wyzwoliła ponownie swoją brać słowiańską: w przeciągu paru minut buchała krew stu siedemdziesięciu ofiar o pomstę do nieba!

Nędza rozpostarła swoje upierne skrzydła nad nieszczęsnym narodem...

Dziewięćorako wzmocniony stan wojenny zapro-

wadził znowu w Warszawie ów osławiony porządek — ach! jak już przywykła Europa do onego szatańskiego »L'ordre règne á Varsovie« — rewoltę robotników w Łodzi utopiono w morzu krwi, a ponieważ zabrakło rządowych katów na wytracenie 1300 ofiar, dla których wieszateli Skafłon wyrok śmierci podpisał, więc posługiwano się zbrodniarzami, skazanymi na dożywotnie kary, którym przypadł w udziale wysoki zaszczyt, że wolno im było wieszać »ad majorem gloriam« cara »niebłagonadożnych«, a ponieważ więzienia caratu nie były w stanie objąć i pomieścić bogatego łupu, więc trzeba go było zarubrykować jako rzecz »zagubioną« — czterdzieści tysięcy ludzi: rzecz zagubiona!

Ograbiona z swoich przywódców, oszukana we wszystkich swoich nadziejach nędznem wiarołomstwem rządu rosyjskiego, popadła Polska w głęboką, polityczną apatyę.

I tylko głęboką, beznadziejną rezygnacyą po rozkosznych godach, kiedy konstytucya zdawała się być zapewnioną — tylko bezwolną i z wszystkich sił opadniętą rozpaczą, która cały naród nagle opanowała, można sobie wytłomaczyć przydrożnego płotu chwytającą się politykę ostatniej doby w Królestwie.

Rusofilizm?! Głupstwo! Polityka chwiejnych, słabych nóg, które się pierwszego lepszego oparcia czepiają!

Rusofilizm? Brednie! To wszystko, co się w Kró-

lestwie wypowiedziało, to nie naród polski, tylko jedna partya, która opanowała w zawierusze 1905/1906 roku ciężko pocharataną łódź myśli i pragnień polskich i skierowała ją w zgniłe łożysko obmierzłej reakcyi — i zatruliła źródło życia polskiego, jaką jest pragnienie Wolności i Niepodległości.

Odwieczna walka z caratem rosyjskim przeistoczyła się na — możeby lepiej zamilczeć, ale czasem i milczenie krzyczy: na kajanie się u stóp tronu wściekłego Roboama — a cały zysk, to poniewierka i pośmiewisko wolnościowego żywiołu braci Rosyan, których wolność własną krwią odkupywać się chciało — ot! 1905 roku!

Ależ to wszystko nie ma nic z narodem polskim, jego rozpaczną misją, jego pragnieniami, jego w niebo sięgającymi zamiarami do czynienia, naród polski w tych wszystkich wszetecznych machinacyach najmniejszego udziału nie bierze.

Niegodną jest rzeczą szydzić z bezbronnego narodu, na który zwałił się najcięższy tragizm dziejowy — ten mianowicie, że naród ów musi się bezradnie przypatrywać, jak jego synowie są zmuszeni, wzajem się wymordowywać, bez skargi poddawać się na tej kiedyś tak bogatej i urodzajnej glebie śmierci głodowej i wciąż jeszcze wysłuchiwać bluźnierczego szydu:

»Jeżeli jesteś Bogiem, to zstąp z krzyża!«

A ja przeciwnie śmiem twierdzić, że nigdy jeszcze potomstwo wielkich przodków nie zachowało

większej godności w tem nowem męczeństwie, jak właśnie obecne, z którego przez wiek cały usiłowano wszystkimi sposobami kastę helotów wytworzyć, któremu pacierz polski za zbrodnię poczytywano, a rozpa miętywanie bohaterskich dziejów przeszłości jako zdradę stanu karano, gwałcono w nim i zduszano każdą myśl o wolności, i nie tylko to: starano się w nim zabić poczucie, że jest »narodem«, nie pozwalano mu się nawet tem mianem nazywać i używano wszystkich środków, by w tych »posthumi« systematycznie wyrabiać instynkt najpodlejszego niewolnictwa w myślach i czynach.

A zaiste podziwu godnem to cierpiące, męczeńskie milczenie, spokojna, mądra i wzdurliwa wstrze mięźliwość społeczeństwa polskiego pod jarzmem ro syjskiem.

Wklinowanie w dwa potężne narody, trwa w swoim biernym oporze i nie chce służyć za igraszkę gry w piłkę, którą się już nieraz Europa zabawiała — nie chce, chociaż obecne aktywne wystąpienie jego gwałtownie tem zagraża, że mogłoby znowu zostać nazwane najszczytniejszym heroizmem.

O ten listek chwały w wawrzynach dumy narodowej i chwały już się żaden Polak w Królestwie nie troszczy.

I dla tego niema powstania!

Tak często okłamywany, oszukiwany i zawo dzony w swoich najwspanialszych nadziejach, które

już, już ziścić się miały, tak często zrywany z rozkośnych snów do brutalnej rzeczywistości, stracił naród polski naiwną błogość wiary we wszystkie traktaty, przysięgi, przyrzeczenia, a nawet w najpewniejsze weksle swoich sąsiadów — za bardzo, za boleśnie musiał tę wiarę przepłacać, by nawet najpewniejszemu wierzy- cielowi zaufać.

W tylukrotnych rozpacznych zawodach nauczył się naród polski nie dać się powodować nawet najzyskowniejszym konjekturom politycznym — nie chce szafować ostatkiem swych sił, w nowem powstaniu i doszczętnie się zaprzepaszczać, bo przecież niewi- domo, co nastąpić może.

Europa bezustannie swoją skórę zmienia, wskutek czego wszelkie postanowienia na Kongresach szybko się przedawniają, a nawet najgorętsze długi wdzięczności już po paru latach idą w zapomnienie.

I dla tego niema powstania w Królestwie!

Oćwiczane basałkami Roboama w ostatnich lat dziesiątkach, zapakował naród polski swoje wzniosłe, ale całkiem starzyzną cuchnące ideały o prawach narodów, wyzwalającej sprawiedliwości, i jak się tam jeszcze te stare, bezużyteczne całkiem rupiecie zowią, starannie do torby i wyrzucił je na strych, pomny w że- lazo opancerzonej nauki:

»Point de rêveries, messieurs!«

Społeczeństwo polskie dojrzało wreszcie, kiedy już przeszło przez całą Gehennę bezustannych rozczar-

rowań, do tej zimnej rozważi, że tylko o własnej sile może swoją niepodległość wywalczyć, a wie, że obecnie jest jeszcze za słabe, by się módz o taki bój na życie lub śmierć odważyć, zbyt jest wyczerpane straszliwemi ofiarami ostatniej rewolucyi, a luki wskutek utraty ofiarnej, do wszystkich poświęceń zdolnej, inteligencji i śmierci urągającej masie robotników, nie tak łatwo wypełnić się dadzą.

I dla tego niema w Królestwie powstania!

Pod ziemię zakopał się lud polski, z głodu umiera, bo żadna chociażby najstraszliwsza katastrofa żywiołowa, która kiedyś Martynikę nawiedziła, nie mogłaby doszczętniej zniszczyć jego kraju, jak wojna obecna, ale nie poddaje się rozpaczy, bo wie, że czeka go jeszcze ostatni i rozstrzygający o jego życiu lub śmierci bój krwawy, który już bezwzględnie losy jego przypieczętuje, a na tę chwilę ostatnich obrachunków musi Polska ostatek swych sił zachować, każdą kroplę krwi szczerdzić, aby w onej godzinie, która jeszcze dla niej nie wybiła, nie zabrakło bojowników, którym może będzie wreszcie dane, ujrzeć Ziemię Obiecaną Wolności!

* * *

Zadziwiający w tem całym rozczarowaniem zdumieniu, że w Królestwie pod jarzmem rosyjskiem nie wybuchło powstanie polskie, jest fakt, że na chwilę się nie zastanawiano, jakby to powstanie wprost materialnie dałoby się umożliwić.

Przecież takie zbrojne powstanie musiałyby przynajmniej choćby jedną armię wykazać; by takowa była zdolna do walki, musiałyby być odpowiednio wyekwipowana, a przede wszystkim uzbrojona.

Któż miał dostarczyć umundurowania, karabinów, armat, amunicji?

Jakimże cudem miano to wszystko uskutecznić w małym kraju, obsadzonym przez potężne armie nieprzyjacielskie, którego cała ludność już przed wojną została zmobilizowana i pod obce chorągwie powołana, a, aby już z góry wszelką możliwość jakiegokolwiek powstania wykluczyć wysyłano polskie regimenty do Syberyi, na Ural, na Kaukaz, do Azji — niewielka tylko ilość Polaków jest zmuszoną wzajemnie się wymordowywać.

Jakimże cudem — pytam się — byłby jakiśkolwiek naród w stanie zorganizować własną armię mimo najniesłychanych wysiłków i nieludzkich wprost ofiar bez wszelkiej możliwości dostatecznych przygotowań w kraju, w którym posiadanie zwykłego Browninga pociągało już surowe kary, w kraju, w którym milionowa armia wroga od dawna była zakwaterowana?

Chyba kpiny!

Dla tego niema powstania w Królestwie i nie mogło go być. To już prosty absurd wymagać od narodu, którego każdy ruch tysiącami powrozów skrepo-

wany, którego kraj niszczone i wyspany przez milio-
nowe obie armie, aby robił powstanie!

Inaczej przedstawia się sprawa w Galicyi.

Na wolnościowym gruncie Austrii, bo autono-
mia udzielona Galicyi przez Austryę w duchowym zna-
czeniu (nie mówię oczywiście o ekonomicznym sta-
nie) równała się absolutnej wolności, znalazła polska
myśl niepodległościowa schronisko, w której się mo-
gła bez przeszkód rozwijać i dojrzewać.

Austriya, w której mądrych politycznych obra-
chunkach nie tkwiło wprawdzie wychowywać kielku-
jącego powstania Polaków przeciwko Rosyi — tego nie
potrzebowała, bo tą myślą i tem pragnieniem cała
młoda generacya oddychała i żyła — ale nie stawiać
mu żadnych przeszkód, dała milczące przyzwolenie, że
obecny generał Piłsudski mógł istniejące już związki
Sokoła wojskowo zorganizować, Bartoszowe drużyny
ująć w karby wojskowej dyscypliny i wytworzyć z nich
zdolne do nowoczesnej wojennej taktyki kadry. Ponadto
uzyskał dla ćwiczeń od rządu austriackiego nowocze-
sną broń i także był w stanie przedzierzgnąć całą
młodzież polską na świetnie wyćwiczoną siłę wojenną
w najnowocześniejszem tego słowa znaczeniu.

Minęła już rocznica pamiętnego 16-go sierpnia
1914 roku, w którym to dniu wszystkie partie polskie
się połączyły w tem ślubowaniu, że będą stać wier-
nie przy Austrii i jej tronie nawet daleko poza gra-
nice tego, co obowiązek nakazywał.

Z uzasadnioną dumą mógł teraz organ »Naczel-
nego Komitetu Narodowego« »Polen« odpowiedzieć na
pytanie: »Coście zrobili?«

»Czyn był nieodzownem wymaganiem Chwili —
i to Czyn wojenny. Czyn ten zrodził się 16-go sierpnia
1914 r. a odtąd jest widomy na wszystkich polach
bitew, na których bohaterskie polskie legiony nieśmier-
telne wawrzyny zbierają — Czyn wojenny, któremu
kierownictwo niemieckiej i austriackiej armii najwyż-
szych pochwał nie szczędzi«.

* * *

Legiony!

To niepojęte, niezrozumiałe, przez najlepszych
patriotów polskich przed paru laty jeszcze za szaleń-
stwo obwołane i za bezmyślne marnotrawienie naj-
lepszych sił narodu uważane, stało się Czynem, świad-
czącym o istotnym i wysokim Rozumie Politycznym.

Poprzez szpalty niemieckich dzienników, zalanych
potopem najdokładniejszych wieści o Japończykach,
Persach, Hindusach, Kafrach, Kurdach, Kirgizach
i Bóg wie jakich narodowościach, przedostaje się raz
poraz skromna notatka o fakcie najwyższej doniosło-
ści w przyszłym ukształtowaniu zachodniej Europy —
utworzeniu się legionów polskich.

Prawdopodobnie znajdzie się nieliczna garść
Niemców, którzy temu zjawisku przypisują głębsze
znaczenie, jak tylko niewinny, troszkę kokieteryjny,

troszkę nahałny sposobik Polaków, by nanowo Europie przypomnąć, że Polska była kiedyś wielkiem i niepodległym państwem i że stare obrachunki się nie przedawniły.

A tymczasem oznacza utworzenie legionów to istotne czwarte powstanie, które w Królestwie byłoby prostem, bezmyślnem samobójstwem, a tu w Austrii dowodem wielkiej politycznej dojrzałości — powstanie przez dziesiątek lat jak najstaranniej przygotowywane, umożliwiające niesłychaną wprost ofiarnością społeczeństwa polskiego, wytrzymującą najśmielsze porównanie z ofiarnością niemieckiego narodu — powstanie i »święta« wojna całkiem w tem samym znaczeniu i tej samej doniosłości, jaką jest »święta« wojna na życie i śmierć Niemców przeciwko Anglii.

»Nie spoczniemy rychlej, zanim Anglia zmiążdżoną nie zostanie«, obwołują Niemcy w świętem oburzeniu, a Polska, oszukiwana i mamiona przez tę samą Anglię, podczas powstań z roku 1831, 48, 63, wyruszyła na krwawe obrachunki z Rosyą.

»Nie spoczniemy rychlej, póki się nie wyzwolimy z pod jarzma Rosyi!« — to okrzyk bojowy tej Polski, której w zaszczytnym udziale przypadło, móż go wydać: Galicyi.

Tym razem powstanie Polski przeciwko Rosyi nie jest samodzielnym czynem — byłoby ono, jak już mówiłem w obecnych warunkach bezmyślnem samobójstwem — powstanie to mogło jedynie powstać i doj-

rzeń pod opiekuńczymi skrzydłami Austrii, z wiedzą i pomocą jego rządu, świadomego ofiarności i najgorętszego entuzjazmu tak długo w niewoli ciemnego narodu — z wiedzą i pomocą rozumnego rządu, który nie z dzikimi plemionami Azji i Afryki, ale z jednym z najkulturalniejszych, choć najniezwyklejszych narodów w Europie braterski sojusz zawarł.

Wybiła wreszcie ta godzina, którą największy wieszcz i prorok Polski, Adam Mickiewicz przepowiedział, godzina, której naprózno trzy generacje w męczennickich cierpieniach wyczekiwały i ją wreszcie krwawą pokutą i żarliwymi modłami na Bogu wymogły.

Jakby z pod ziemi wyrosły, ukazały się nagle legiony polskie, jako samoistne wojsko, wprowadzie pod komendą austriacką, ale poddanie się pod nią wojska polskiego nie oznacza bynajmniej zrzeczenia się własnej samodzielności — bynajmniej! Toć i wojsko austriackie oddało się kierownictwu Komendy niemieckiej — przysięga wierności, jaką wojsko polskie chętnie ukochanemu cesarzowi austriackiemu złożyło, to nie poddańcza przysięga podbitego narodu, to święta przysięga zmartwychpowstałego ludu — przysięga wdzięczności, że pozwolono mu się wygrzebać z ciemnego grobu.

To dostojna i uroczysta koalicja dwóch narodów, które tego samego wroga zwalczają i świadome są wspólności tego samego celu, by zniszczyć przekłętą świątynię najpodlejszego niewolnictwa, bezwstydnego

kłamstwa, zdrady, przekupstwa i niechlujnego cynizmu.

Dopełnił się fakt wszechświatowej doniosłości:

Polska wstąpiła w rzędy wojnę prowadzących mocarstw jako osobne i samodzielne państwo, i jako takie są przez Niemcy i Austryę uważane przez uznanie polskiego wojska w formie legionów jako samostannej armii, która całą swą siłą oddała się na pomoc temu narodowi, którego dobrodziejstwa w czasie długiej niewoli najgłębiej odczuła.

Wierność aż do śmierci, wierność aż do ostatniej kropli krwi zaprzysięgła Polska swoim sojusznikom, a dotrzyma tej przysięgi w tej samej mierze, w jakiej ją Napoleonowi aż do ostatniej chwili dotrzymywała, mimo, że Napoleon z wszystkich nadziei ją zwolna odzierał.

Z resztek dawnego wojska dawnej Polski utworzyły się legiony, które pod Napoleonem wszystkie pola bitwy w całej Europie krwią swoją żyźniły i cudów waleczności dokazywały — z najszlachetniejszej, całe stulecie wolności spragnionej, niezłomnej i niezniszczalnej siły narodu polskiego, wytworzyły się obecne legiony, i nie ziściły się słowa, które sfalszowana historia z zbrodniczą tendencją kładzie w usta jednemu z największych bohaterów ludzkości, Tadeuszowi Kościuszce — ono osławione »finis Poloniae«, ale raczej to, coby Kościuszko był mógł powiedzieć:

Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!

I z kości bohaterskich przodków, rozrzuconych po cmentarzyskach całej Europy, powstał mściciel: śmierci urągająca, w majestacie świętego ognia zapala i bezprzykładnej ofiarności płonąca wola polskiego narodu ku Odrodzeniu i Zmartwychwstaniu!

Tam w Galicyi wybiła godzina dla »śpiącego woj-ska«.

Złożyliśmy przysięgę wierności, a sojusznicy nasi mogą być tego pewni, że z tych kilkudziesięciu tysięcy Polaków, którzy ramię przy ramieniu z nimi walczą, każdy jeden prędzej swe życie odda w rozgoryczonej nienawiści i nieubłaganej zemście, zaczemby się tylko o jeden krok cofnął — przepelniła się miara gniewu i rozpacznych mąk podczas stuletniej niewoli — a nie-ma na całej ziemi narodu, któryby z taką zaciekłością swego jarzma chciał się wyzbyć i nim rozpaczniej szarpał, jak właśnie naród polski. Nasi sojusznicy wiedzą aż nadto dobrze, jakie ofiary jesteśmy w stanie dla wolności ponieść, a równocześnie, jakie ogromne usługi im oddać w walce przeciwko wspólnemu wrogowi, którego podstępny fałsz, zdradę, moc jego i słabość nikt lepiej nie zna od nas.

Rozumna i przewidująca polityka Austryi kazała jej zawrzeć sojusz z narodem, którego tysiącletnia, bogata kultura temu tylko obcą, kto rozmyślnie i świadomie o niej nic wiedzieć nie chce, kto nienawistnie i zazdrośnie spogląda na jego teraźniejszość, przeobfitą w kielki bogatego rozwoju i możliwości wspa-

niałego rozkwitu i z śmieszną pohopnością stara się obniżyć i zbagatelizować choćby najwidoczniejszy ob-
jaw naszej niespożytej żywotności.

W każdym razie, i tu daje się już zauważyć pe-
wien postęp. Żaden Hartmann nie ośmieliłby się teraz
w Niemczech wykrzykiwać, by Polaków »wytępić!«

Obląkańczy zaiste pomysł!

Wytępić naród, który swoją kulturą niejedną
w Europie o całe niebo przerósł, wytępić naród, który
siły swoje niszczył w krwawej misji, bronić Zachodu
przeciw potopom Islamu i Mongołów, który w awan-
turnicznym poczuciu obowiązku śpieszył Wiedniowi na
odsiecz, nie zważając na to, jakie ten rycerski rozpęd
poniesie skutki dla jego własnego państwowego bytu!

Czyżby zdolano już zapomnąć, że Kraków przez
długie stulecia był jednym z najważniejszych ośrodków
cywilizacji i kultury w Europie, że wszechnica Jagiel-
lońska była oblęgana przez młodzież wszystkich euro-
pejskich narodów — czyżby to łatwo prześlepić, że
nigdzie nie doznawali niemieccy humaniści tak gorącej
i serdecznej gościnności, jak w Polsce — a wśród naj-
zacieklejszych walk religijnych podczas reformacji,
któż otworzył na oścież gościnne wrota dla adeptów
»nowinek«, jeżeli nie Polska, mimo fanatycznego sprze-
ciwu niemieckiego biskupa-kardynała Hozyusza?!

I w tym związku nie będzie od rzeczy wspomnieć
o niesłychanej tolerancji i ludzkości prawodawstwa
polskiego wobec żydów, fakt, który aż nadto wymo-

wnie przemawia za wysokim stanem cywilizacji w dawniejszej Polsce.

W onych wiekach, kiedy w Hiszpanii żydzi tysiącami na stosach ginęli i ich jak bydło na rzeź gnano, kiedy we Francji byli uznani za prostą własność baronów, w Anglii wszelka osobista własność żydowska była dobrem fiskalnym, a w Niemczech prześladowania żydów coraz groźniejszy i okrutniejszy charakter przybierały, cieszyli się żydzi w Polsce troskliwą opieką prawa. Już Mieczysław Stary (1173—1202) wydał prawo, według którego dzieci chrześcijańskie, które kamieniami na żydów rzucały, miały być publicznie różgami ćwiczone — Kazimierzowi Wielkiemu (1333—1370) wdzięczna gmina żydowska wystawiła w końcu ubiegłego stulecia pomnik, a to więcej mówi, aniżeli cały tom o dobrodziejstwach, jakie ten wielki król żydom wyświadczył — a podczas panowania Jagiellonów żaden żyd nie mógł być skazany na podstawie li tylko chrześcijańskich świadczeń, a kto pisał żyda o mord rytualny, a nie mógł tego dowieść, podpadał tej samej karze, którą żyda spotkała, w razie, gdyby mu zbrodnię udowodniono. Szczególnie surowe kary spotykały tych, którzy przeszkadzali żydom w wykonywaniu ich obowiązków religijnych, a, aby nie obciążać religijnego sumienia żyda, nie wolno było, gdy chodziło o drobne sporne rzeczy, wymagać od niego przysięgi na dziesięć przykazań.

i to w czasie, kiedy jak w Węgrzech n. p. małżeń-

stwo żydowskie mogło być zawarte jedynie za przyzwoleniem zwierzchnictwa, a w pewnych wypadkach zezwolenie to nastąpić mogło po uprzednim spożyciu publicznem mięsa wieprzowego.

Dalsze przywileje otrzymali żydzi podczas panowania obrońcy Wiednia, Jana Sobieskiego, a już w przedśmiertnych konwulsjach wijąca się Rzeczpospolita ogłosiła na sejmie czteroletnim prawo dla żydów, jakie w takiej uprawniającej rozciągłości tylko w nowożytnem państwie dałoby się pomyśleć.

Według tego prawa są żydzi wolnymi obywatelami państwa, mają prawo wyborcze i przystęp do wszystkich urzędów. Wobec prawa są na równi z chrześcijanami, a żadnego żyda nie wolno przypuścić do chrztu przed skończonym dwudziestym rokiem. Wszystkie szkoły są dla nich otwarte, a jeżeli żyd zakupi ziemię, w takim razie zwolniony jest w ciągu dziesięciu lat od podatków.

Podczas pierwszego powstania polskiego utworzyli żydzi legion pod wodzą Berka Joselewicza i bili się przeciwko Rosyi z walecznością, która przypomina powstanie Makabeuszów, w roku 1863 przyszło do formalnego zbratania się Polaków z Żydami, a gdy podczas potężnej demonstracyi w Warszawie padł katolicki kapłan, niosący krzyż na czele procesyi, ugodzony kulą moskiewską, rabin żydowski podniósł krzyż z ziemi i niósł go dalej w heroicznej pogardzie śmierci.

I jedynej Warszawie została oszczędzona hańba

żydowskich pogromów, jakie we wszystkich okręgach Rosyi, zamieszkałych przez żydów w 1902 i 1903 roku epidemicznie grasowały — a tylko jedynie dla tego, że polska straż obywatelska unicestwiła doskonale zorganizowany, przez czeredę rosyjskich agentów z południowej Rosyi starannie przygotowany pogrom. Polska straż obywatelska — oczywiście! Bo wojsko rosyjskie, stojące garnizonem w Warszawie dawno już się cieszyło na ten wspaniały kiermasz!

»Czegoż wy od nas chcecie? Co macie nam do zarzucenia?« pytałem się przed paru laty słynnego pisarza żydowskiego, piszącego żargonem p. Szlome Asch. »Nic wam nie mamy do zarzucenia prócz tego, żeście za dobrze się z nami obchodzili — wasze wolności, wasze przywileje skruszyły hart naszej duszy, naszą odporność moralną, wyście nas poprowadzili nad kraniec przepaści, jaką jest dla nas assimilacya«.

I tylko to psychologiczne, acz trudne do pojęcia, ale głęboko zakorzenione uczucie nienawiści, ono Nietzsche'ańskie »ressentiment« jako podświadomy instynkt pozwala zrozumieć, dla czego na ziemi polskiej urodzony i wychowany żyd, pan Witkowski, alias Maximilian Harden pragnie teraz utłuc z taką zajadłą zaciekłością polskiego orla (»den weissen Aar«) i dla czego, ongi przez Polaków uwielbiany i rozpieszczany żyd duński, Jerzy Brandes, dał taki chętny posłuch potwornym bajdom żydowskich »agents provocateurs«

Rosyi — Litwakom — i całą Europę poruszył niestworzonymi opowieściami o polskich pogromach żydów.

Czyżby te piorunujące artykuły Brandesa o prześladowaniach żydów ze strony Polaków nie miały być niczem więcej dyktowane, jak tylko również przez to płaskie i niskie uczucie nienawistnego »ressentiment'u« — i były drogą do Canossy za śmiertelny grzech młodzieńczego entuzjazmu dla Polaków — a może Brandes był niezadowolony przyjęciem, jakie mu Lwów w 1899 roku zgotował?

Między papistami są tacy, którzy są »plus pape que le pape« — są między niemieckimi żydami tacy, którzy polskim przywilejom i prawom wolnościowym wszystko mają do zawdzięczenia, a teraz z nienawiści do Polaków najzacieklejszych hakatystów przewyższają do tego stopnia, że na rządzie niemieckim wymogli, by nienawistną nazwę miasta Inowrocławia przechrzcił na potworne »Hohensalza« — są między rosyjskimi żydami tacy, którzy, mimo Kiszenuwa i wprost niesłychanych pogromów w okręgu ich osiedlenia w południowej Rosyi są więcej Rosyanami, aniżeli Rosyanie sami, dumni i szczęśliwi, że za Rosyan mogą uchodzić — i takich to Rosyan-żydów napędziła sprytna i podstępna Rosya do Warszawy z jakie ćwierć miliona — i teraz dziw i gwałt i załamywanie rąk nad antysemityzmem polskiego społeczeństwa w ostatnich latach, jak mu się na kark taką hordę ultra-rosyjskich »kulturtraegerów« zważyło.

Możesz być pan spokojny, panie Jerzy Brandesie, — dla tych dziewięćset tysięcy żydów, jakich w Polsce przed pierwszym rozbiorem naliczono, a którym Sejm Czteroletni takie znaczenie dla rozwoju kraju przypisywał, że dał mu jak najdalej idące prawa — dla tych dość miejsca się znajdzie w przyszłym polskim państwie na podstawie wspólnych, jednych i tych samych praw — ale byłoby samobójstwem, gdyby społeczeństwo polskie miało znosić upadlającą robotę prowokacyjną rosyjskich żydów, których rząd rosyjski używa za narzędzie rozsadników i burzycieli dotychczasowego zgodnego współżycia Polaków i polskich żydów.

Musiałem się szerzej nad sprawą żydowską rozpisać, bo tak zwany »bojkot żydowski« w Polsce posłużył na podstawie fałszywych informacji niejednokrotnie prasie niemieckiej do gwałtownych i nienawistnych napaści na Polaków.

Wrócić jeszcze do kulturalnej misji zasług cywilizacyjnych Polski?

Wspaniałe, podstawowe i głębokie prace nieskończenie zasłużonych dwóch Brücknerów, jednego, który napisał w niemieckim języku historię narodu polskiego, drugiego zaś, Aleksandra, słynnego sławisty w Berlinie, który stworzył kulturze i literaturze polskiej królewski pomnik w swem dziele o literaturze polskiej¹⁾

¹⁾ Die Literaturen des Ostens in Einzeldarstellungen Geschichte der poln. Literatur.

zwalnia mnie z nęcącego zresztą obowiązku dać narodowi niemieckiemu chociażby zarys bogactwa duszy polskiej, to jedno tylko mogę śmiało bez wszelkiej narodowej chwalby twierdzić, że Polska była przez całe stulecia, od założenia wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie aż pod koniec siedemnastego stulecia niejako soczewką, która promienie oświaty, kultury i cywilizacji całej Europy w sobie zbierała.

Za panowania Piastów i Jagiellonów podejmowano z najwyszukańszą gościnnością i szacunkiem niemieckich artystów w miastach, grodach i zamkach — z Norymbergii prowadził prosty szlak do Krakowa, a Wit Stwosz, lub Fiszer, czuł się również dobrze w Polsce jak w Niemczech — świadkami minionej a wspaniałej przeszłości to tysiące i tysiące pozostałych jeszcze pomników wytwornej kultury; magnaterya polska była najlepszą klientelą holenderskich mistrzów malarskich — sześć sal obrazów Rembrandta w Petersburskim Eremitażu, skradzionych w Polsce podczas zawieruch powstańczych, najlepsze dają świadectwo głębokiego odczucia sztuk pięknych w Polsce, mnóstwo przepięknych zabytków budownictwa renesansu świadczy o ścisłym kontakcie Polski z kulturą Zachodu — a przebogate księżnice — może najbogatsze w ówczesnej Europie — jak n. p. biblioteka księcia Załuskiego, skradziona przez Rosyan, która dotychczas stanowi najkosztowniejszy rdzeń carskiej biblioteki w Pe-

tersburgu — aż nadto wymowne dają dowody niezmiernie wybujałemu stanowi kultury polskiej.

A najcenniejszym i niepomiernym skarbem tego narodu jest jego język, któremu niemiecki uczonec Samuel Linde całe życie poświęcił i w swoim słowniku języka polskiego wiekopomny pomnik stworzył, godny najwspanialszych dykcyonaryuszy niemieckich, francuskich lub angielskich.

Jest to język, któremu jeden z najzasłużeńszych niemieckich leksykografów, Dr. phil. Booch-Arkossy, następujące pochwały oddaje:

»Język polski, który już osiągnął szczyt gramatycznej i leksykalnej doskonałości, kiedy język angielski, francuski a nawet niemiecki, zaledwie zdołał się zwolna ustalać w mowie pisanej i z trudem okiełznywał wzajem zwalczające się dyalekty, zdołał przez całe stulecia mimo bezprzykładnych trudności, jakie mu położenie polityczne stawiały, utrzymać się jak najzupełniej na wysokości rozwoju wszystkich nowoczesnych języków światowych. Niedosięgnięta, może tylko staro-greckiemu językowi właściwa możliwość twórczej modulacji języka polskiego, która sprawia, że wyrazić nim można bez wszelkich określań najdelikatniejsze nuanse, zabarwienie i cieniowanie uczuć, — to główna przyczyna, dla której obecny język polski objawia się w tej świetnej, bezprzykładnej doskonałości, której jej zresztą tak bogaty język jak angielski, lub francuski szczerze zazdrościć może«.

I taki język chciano wytępić!

W ciasnych ramach zwykłej broszury nie sposób o tem mówić, jakie kulturalne wartości Polska Zachodniej Europie zawdzięcza i co nawzajem jej dała.

Dla spadkobiercy niesłuchanie bogatej i niewypowiedziane kosztownej kultury narodu, do którego przynależę i z czego dumny i szczęśliw jestem, dla artysty, który niemieckiej kulturze bardzo wiele w głębokiej wdzięczności zawdzięcza, jak właśnie ja, a który miarę porównawczą dla kulturalnych wartości własnego narodu przyjął od sumiennosci badań niemieckich, jest to wprost przykre zadanie, oswajać naród niemiecki z najelementarniejszemi pojęciami o historii i kulturze sąsiadującego z nim od wieków narodu polskiego.

To jedno pragnąłbym, by się wraziło w pamięć narodu niemieckiego, że Polska była przez tysiąc lat niewzruszonym przedmurzem Zachodu Europy przeciwko oceanicznemu zalewowi Mongołów i hord azjatyckich, a w bezustannych, krwawych wojnach, wśród bezmiernych, ofiarnych poświęceń dla bezpieczeństwa Zachodu tak swoje siły sterała i wyczerpała, że wdzięczny Zachód uznał wreszcie za stosowne konającego lwa nogą kopnąć i ostatni cios mu zadać z litości i wielkiej łaski.

Zachodnia Europa twierdzi, że to dobiecie było »historyczną koniecznością«.

He, he!

Są historyczne konieczności, których się nie za-

łatwia przy zielonych stołach dyplomatycznych kongresów w Wiedniu, czy też gdziekolwiek indziej.

»Młyn Boga«, mówi polskie przysłowie, »miele powoli, ale sprawiedliwie«.

A zaś inne przysłowie polskie opiewa, że »chciwy podwójnie traci«: podział Polski otworzył na oścież wrota dla Mongołów i Azyatów — gdyby była Polska istniała, byłaby obecna wojna między Niemcami, Austryą a Rosyą absolutnie wykluczona.

Cały wściekły napór Rosyi przeciw Zachodowi, kiedy już jej została odcięta droga do Oceanu Wielkiego przez Skandynawię, do Cichego Oceanu przez Japonię, poprzez Dardanele do Śródziemnego morza przez Turcyę, byłby się zwrócił przeciw Polsce, która odrodzona przez Majową Konstytucyę byłaby bezwątpienia dość silną, by móżdż najcięższą walkę z Rosyą podjąć i jej zakusom, by wybić sobie drzwi na Zachód, tamę i kres ostateczny położyć.

Trzy mocarstwa zapobiegły temu skwapliwie, by Polska o własnych siłach mogła się dźwignąć z swego upadku, a już przecież wielkiem Odrodzeniem żyć poczęła i naród, który sam jeden może się tem poszczycić, że zdobył Moskwę — właśnie trzysta lat temu — został Moskwie na pastwę wydany.

I teraz na nowo objawia ten naród, który już dawno do grobu złożono, swoje niespożyte, niezniszczalne prawo do życia i daje świadectwo swej przepotężnej sile i heroicznej woli, znowu od samego początku

wziąć na swe barki dawną męczeńską misję i znowu i po wszelką przyszłość stać się przedmurzem, o które najzacieklejsze wysiłki mongolskie rozbijać się będą:

W utworzeniu obecnych legionów święci Polska swoje Zmartwychwstanie.

Święta tradycja dawnych legionów, których ostatni bohater, książę Józef Poniatowski znalazł w nurtach spienionej Elstery śmierć w walce ludów pod Lipskiem, kiedy zasłaniał odwrót Napoleona w oblężonej wprost ekstazie odwagi i męstwa, odżyła na nowo w nieprzeczuwalnej potędze w obecnych legionach ku nowemu życiu i nowej chwale.

III.

Bezsprzecznie jest to wielkim zaszczytem dla narodu, który z wyżyny wspaniałej przeszłości został strącony do podziemnych lochów niewoli, że teraz, gdy cała Europa wije się w konwulsjach, przypomniano sobie jego potężną żywotność i jego bezprzykładny hart i wytrwałość żelazną — bezwątpienia, jest to jeszcze więcej niż zaszczytnem dla narodu, który w groteskowej wściekłości grzebania wciąż od nowa żywcem w grobie zamurowywano, że posądza się go teraz o tę nieludzką siłę, iż poraz piąty zmiażdży wieko swej trumny i znowu z grobu powstanie, aby Europie, gdy burza przeminie, nie zabrakło wspaniałego widowiska powtórnego pogrzebu i nie ulega wątpliwości, że naród, który gwałtem chciano zepchnąć na poziom drugorzędnych, niższych narodowości, może być teraz dumny, że nie obwinia się go o zdradę stanu, jeżeli się odważa narodem mienić i nie zabrania mu się o wolności i niepodległości myśleć i do Boga własnym językiem się modlić — to wszystko mogłoby służyć dla

narodu, którego kraj dawno już z karty Europy skreślono jako chwalebne świadectwo niespożytej jego mocy i bezwzględne uznanie konieczności jego odrębnego bytu: o tem jednym tylko zapomniano, lub też umyślnie nie chciano zwrócić uwagi, że wołanie do narodu, przez półtora wieku w nieludzki sposób ciemzonego, narodu, któremu się niszczyło wszystkie możliwości rozwoju takie wołanie: »Teraz powstań!« wydaje się raczej cynicznym szyderstwem, jakim Chrystusa na krzyżu opluwano:

»Jeżeli jesteś Bogiem, to znijdź z krzyża!«

A jednak stał się cud! Na krzyżu rozpięty naród zdołał choć jedno ramię wyzwolić — a ten cudotwórczy Czyn, to utworzenie Legionów.

Dziwnym ponad wszelką miarę, że Niemcy, którzy przecież o wszystkich choćby najdrobniejszych przejawach w tej wojnie doskonale są poinformowani, jednego faktu nie doceniają, albo go w całej jego doniosłości pojąć nie mogą, że Polacy niezależnie od ogólnej mobilizacji (pół miliona obowiązkowego żołnierza polskiego w Niemczech i również tyle w Austrii) stawili jeszcze swoim własnym kosztem i bezprzykładną ofiarnością jeszcze trzydzieści tysięcy ochotników w formie Legionów: gimnazyści, począwszy od 16-tego roku życia, przeważna część akademickiej młodzieży, profesorowie, artyści, wogóle wszystko, co tylko Polska z arystokracji ducha i inteligencji posiadała, jednym słowem wszystko, co jej »Ver sacrum« stanowiło, wy-

ruszyło w »świętą« wojnę, by w ścisłym związku z narodem niemieckim walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi.

Nigdy jeszcze żaden naród ofiarniej i wierniej nie spełnił Chrystusowego przykazania: »Oddaj Bogu, co jest Boga, Cezarowi, co Cezara!« jak właśnie Polska w obecnej wojnie.

Całą do walki zdolną ludność, przeszło milion ludzi — oddała Cezarowi, wszystko jeszcze, co pozostało, stawilo się do służby w świętej sprawie, oddało się najwyższemu Bóstwu Polski, niepodległościowej i wolnościowej idei, w kornej ofierze.

Nie było żadnych wahań, ani rozważań dla tych zastępów ochotniczych: tylko przy boku tego narodu, którego sprawę uznała za sprawiedliwą i świętą, mogła własną świętą sprawę wywalczać.

Czyż naród niemiecki nie zastanowił się nad tem, że właśnie ta Polska, która swym świętym tradycjom pozostała wierna — a to jest właśnie ta »ecclesia militans«, która przy etycznym wartościowaniu jakiegokolwiek narodu jedynie wchodzi w rachubę, przetrzymała się właśnie na stronę niemieckiego narodu i teraz ramię przy ramieniu w ścisłym, rycerskim zbrataniu przeciwko »oswobodzicielce« Rosji walczy?

Niemcy powinni wreszcie zrozumieć, że utworzenie legionów — niezależnie, powtarzam raz jeszcze, od poboru żołnierza polskiego przy ogólnej mobilizacji — przedstawia najwyższą wartość moralną pol-

skiego narodu — a choć legiony te z natury rzeczy liczbowo imponująco przedstawiać się nie mogą, w każdym razie są ucieleśnieniem myśli polskiej, widowym znakiem woli narodu ku Wolności: w legionach wskrzesiła się Polska od nowa i w nich święci, do nowego życia rozbudzona, swój najwyższy tryumf!

I Niemcy powinni się nad tem zastanowić, że ta Polska właśnie po ich stronie stanęła, mimo, że potężny jej sąsiad — Rosya — wszystkimi siłami, wszystkimi możliwymi środkami i pochlebstwem i niesłychanemi obietnicami i zapewnieniem absolutnej wolności starała się ją na swą stronę przeciągnąć — a zaprawdę nigdy jeszcze flet rosyjski nie wydobywał z siebie tak rozkosznych i pieścizotliwych tonów.

Polaków posądza naród niemiecki o rusofilizm.

Więc jakżeż sobie wytłomaczyć zdumiewający fakt, że Polacy w Rosyi mimo gorącego z jej strony poparcia, mimo najrozpaczniejszych wysiłków ze strony zwierzchnictwa, które doprawdy w środkach nie przebierało, nie stworzyli legionów przeciwko Niemcom?

Rosya sama posiada przecież trzy czwarte dawnych ziem polskich, więc z łatwością mogłaby przeciw tym trzydziestu tysiącom legionistów, którzy po stronie Niemiec walczą, wystawić conajmniej stutysięczny zastęp tych, którzyby przeciwko Niemcom w pole wyruszyli. Dla czego zawstydzająca próba utworzenia takiego legionu zrobiła takie fatalne fiasko? Mimo najgorętszych usiłowań zdołano zwabić zaledwie cztery-

stu drapichrustów i głodomorów, a i ci wkrótce na wszystkie wiatry się rozlecieli.

Oburzające wprost, że ze strony Niemców często gęsto słyszy się zarzut, że Polacy w tej wojnie zawiedli.

Polacy zawiedli?!

Kto zawiódł?

Może tych sześćset tysięcy nieszczęsnych chłopów i robotników, którzy najgłębszą nienawiścią do Rosyi pałają, których pod eskortą bagnatów i nahajek na krwawą rzeź pognano, a do których rząd rosyjski swoją drogą tak mało ma zaufania i tak ich się podejrzliwie lęka, że polskie regimenty rozlokowano we wszystkich częściach Rosyi — na Uralu, na perskiej granicy, lub na Kaukazie?

I któż miał robić to wyczekiwane, upragnione powstanie w Królestwie, pominąwszy już to, że w wielkich wojnach powstania małych narodów na ich, przez armie milionowe nieprzyjacielskie zalany terytorjum, jest najgłupszym absurdem?!

A może zawiedli onych czterdzieści tysięcy, z których każdy był bohaterem, a którzy w roku rewolucyjnym 1904/1905 padli ofiarą krwawej zemsty rządu rosyjskiego, a o których Europa nic nie wie, bo się »zagubili!«

A może zawiedli właściciele olbrzymich fabryk, swoją drogą przeważnie Niemcy i Żydzi, którzy podczas pierwszej okupacji Łodzi, niesłychane i wrogie

trudności polskim legionistom na każdym kroku stawiali? — niemiecka armia musiała się na polskiej ziemi nimi zająć.

A może magnaci, właściciele olbrzymich latifundyi, którzy zmuszeni są w interesie swego majątku i własności w drżącej trosce Rosyi się czepiać?

I kto jeszcze zawiódł?

Może Polacy w Poznańskiem, którzy lojalnie dali państwu niemieckiemu potężną armię, złożoną z czterystu tysięcy najdzielniejszego i najtęższego żołnierza, ci Polacy, którym nawet Maximilian Harden wystawia pochlebne świadectwo i przyrzeka im na przyszłość lepsze obchodzenie i widoki na urzędy?!

*
*
*

Idą i wciąż jeszcze idą w hojny i gościnny dom gospodarza nieprzeliczone szeregi ochoczych żniwiarzy, a każdy z nich z najbogatszym plonem, jaki w swem życiu zebrać zdołał, a wśród nich — jeszcze ich nie widzicie bracia w świętej wojnie? — mała gromadka najbiedniejszych ofiarników, którzy nic innego w tę świętą wojnę wnieść nie mogli prócz ofiarnych miseczek, na których płoną świętym ogniem i świeżo z piersi wyrwane serca — jeszcze ich nie widzicie?!

Trzydzieści tysięcy polskich legionistów!

Trzydzieści tysięcy — to wszystko, na co Polska zdobyć się mogła?

Widzę podejrzliwy, nieufny — ba! nawet szyderczy uśmieszek.

Tak! trzydzieści tysięcy, ale to najkosztowniejsze, co Polsce po rozpacznych walkach wolnościowych w ciągu prawie półtora wieku jeszcze pozostało.

To potomna generacja onych bohaterów, którzy w 1863 roku wskutek braku broni rosyjskie armaty gołemi rękoma zdobywali, to resztki i chwała Bogu najdzielniejsze i najtęższe, jakie Polska z zawieruchy w 1905 r. uratować zdołała.

Wiem, że w ogromach milionowych armii ta garść topnieje i żadnego znaczenia mieć nie może, ale każdy z tych biednych ofiarników stoi wewnętrzną duchową wartością, mocą poświęcenia, nieustraszonem bohaterstwem i pogardą śmierci na równi z najlepszymi i najgodniejszymi w wojskach niemieckich!

I legioniści polscy nie zawiedli nawet najśmielszych nadziei, jakie w nich pokładano, a bezprzykładne ich męstwo stało się postrachem dla Rosyan.

Karta dziejów Polski, zapisana przez obecne legiony, jest jedną z najwspanialszych, jaką się wogóle dzieje jakiegokolwiek narodu poszczycić mogą.

W takim królewskim blasku i dumnej bohaterkiej potędze rzadko Myśl Polska się ujawniała i niezłomną moc swą objawiła.

Trzydzieści tysięcy legionistów!

Ja wiem, wiem dobrze, że to ostatni szeląg biednej wdowy, ale nie znam narodu, któryby mocą swej

wysokiej etycznej kultury był lepiej w stanie ogrom tej ofiary zrozumieć i pojąć, jak właśnie naród niemiecki — tylko odrobinę dobrej woli na to potrzeba.

Jeszcze zastrzeżenia? Jeszcze niedowierzania?

Cała Polska tylko trzydzieści tysięcy legionistów!?

Tak! cała Polska! Bo ta mała Galicya, w której było wogóle możliwe legiony tworzyć, to polski Piemont, do którego schronili się wszyscy wygnańcy i proskrybowani w Królestwie, wszyscy ci, którzy wprost zerwali się ze stryczka rosyjskiego kata: Kraków i Lwów, to asyle, do których się exodus polskiej inteligencji z Królestwa zwrócił, a jeżeli się mówi o duszy Polski, to trzeba jej w Galicyi szukać.

Tu znalazła przytułek, schronienie, tu mogła się swobodnie rozwijać i szeroko swe skrzydła do wolnego i śmiałego lotu rozpiąć, i tylko tu mogli się rozbitki z rewolucyi w 1905 r. na nowo zorganizować, do boju zdolne zastępy zebrać, regularne wojsko stworzyć, w którego szeregi coraz to nowe zastępy żarliwych wyznawców idei niepodległościowej napływały.

I tak powstało liczebnie wprawdzie niewielkie wojsko polskie, ale karne, doskonale wyćwiczone, rwące się do boju wojsko pod wodzą męża i bohatera, którego nazwisko godnie obok nazwisk największych bohaterów polskich stanąć może: generał Józef Piłsudski.

*

*

*

Tym odparciem zarzutów, jakoby Polska w obecnej świętej wojnie zawiodła, nie myślę oczywiście przemilczać faktu, lub go zatuszowywać, że istotnie w Polsce istotnie partya, wrogo dla Niemców usposobiona. Że taka istnieć i trwać może, na to mógłbym tysiące i jeden bardzo ważnych przyczyn przytoczyć; ale częstokroć zwracano mi uwagę, że teraz panuje »Burgfrieden«; ja tego pokoju mącić nie chcę i uznaję jego konieczność, czego niestety poważny odłam prasy niemieckiej nie czyni i wobec Polaków całkiem go nie zachowuje. Bezustannie czytam złośliwe i płaskie wycieczki w prasie niemieckiej przeciwko Polakom, a Maximilian Harden tak dalece się zaciętrzewił, że Polaków o zdradę stanu oskarżał.

Potrzeba było rządowego, oburzonego protestu, by tę nędzną infamię odpowiednio napiętnować.

I ani mi przez głowę nie przechodzi twierdzić, że nawet ci Polacy, którzy teraz pospół z niemieckimi towarzyszami broni o najświętsze, wspólne ideały walczą, przez jedną noc zapłonęli gorącą miłością do Niemców — na wygojenie zadanych ran dużo czasu potrzeba, to jedno tylko mogę bezwarunkowo powiedzieć — a polski Piemont* potwierdza moje orzeczenie — że Polacy odnoszą się z najgłębszym szacunkiem do niemieckiego narodu, który teraz przeciwko stu milionom wrogów walczy.

Ani na chwilę się nie zastanawiali, ani wahali, by się stawić po jego stronie, i przy boku jego własną

wolność zdobywać, wszystkie krzywdy zapomnieli — a trzeba było dużo zapomnieć — i podali ufni i wierni swemu dawniejszemu przeciwnikowi ręce do zgody i godności pełnego sojuszu w poczuciu wspólności zaobopólnej »świętej« sprawy.

A nigdy jeszcze Polska, jak długo istnieje, wiarołomną nie była.

A powątpiewać teraz o świętej powadze, o zaprzysiężonej wierności sojuszniczej Polaków, z jaką wyruszyli pospół z narodem niemieckim na krwawy bój — za naszą i Waszą wolność — a we wszystkich bitwach okazali na nowo swoją bohaterską moc i męstwo — byłoby ciężką obrazą dla narodu Polskiego — i zniewagą.

Wstawka nasza w tej świętej wojnie jest co najmniej tak wysoką, jak narodu niemieckiego.

Może nawet wyższą.

Daliśmy wszystko, cośmy dać mogli i daleko nawet poza możność naszą, a żaden naród niema w tej niebezpiecznej Va-banque grze tyle do stracenia, jak my — to znaczy: wszystko!

Już przecież cały nasz kraj zniszczony, stratosowany, w jedno krwią naciekle błoto zamieniony — dziesięć lat będzie potrzeba, zaczem się straszliwe rany naszej rozkopanej, podziurawionej, aż do samego wnętrza rozszarpanej ziemi zagoją, trzydzieści procent naszych wsi znikło z powierzchni ziemi, śladu z nich nie pozostało — możesz jeździć godzinami całymi wszedz

i wzdłuż, a nie napotkasz na jedną żyjącą istotę — całe młodociane potomstwo z głodu powymierało, a tajemnicą pozostanie, czem się przy życiu pozostali wyżywić zdołają...

O ty, błogosławiona Belgio!

Europa rozrywa szaty na sobie i posypuje sobie głowę pokutniczym popiołem, drży w posadach z oburzenia, że sukiennice w Ypern koniecznością wojenną zniszczone zostały, ale, że miliony ludzi tam gdzieś w Polsce z głodu giną albo życie prowadzą, jakie nam tylko średniowieczne kroniki wśród najstraszliwszych klęsk głodu, moru, pożogi i mordów opisują, to Europę nic nie obchodzi — przeciwnie niema dosyć słów wstrętu i obrzydzenia nad polską nędzą, polskim brudem, no i oczywiście — polskimi wszami!

Haniebne! Czyż wstyd Wam oczu nie zalewa?

Więcej powagi, więcej godności, Wy towarzysze pancerni w »świętej« wojnie, więcej szacunku przed tymi nieszczęśnikami, którzy w milczeniu cierpią, bezimiennie umierają, o których Europa nic nie wie lub pogardą zbywa, a którzy doprawdy jej zimnego, obojętnego spokoju skargami i rozpaczliwym porykiem nie zakłócają.

A jeżeli kiedykolwiek jakiś naród miał prawo żądać jak najgłębszego szacunku i podziwiającego poważania, to właśnie naród Polski w tej wojnie.

Łaski i współczucia nie wyzebrywaliśmy u Europy mimo naszej najstraszniejszej nędzy, nie krzy-

czeliśmy gwałtu, choć stokroć razy większe świętości nam niszczone i burzono, aniżeli była nią dla Francuza katedra w Reims, ale tego jednego stanowczo wymagamy:

Więcej szacunku!

Naród Polski nie ponosi ani winy ani odpowiedzialności za machinacje łódzkich fabrykantów, lub swoich możnych magnatów, właścicieli olbrzymich latifundii i wszystkich tych interesentów, którzy nieodłącznie są z Rosją związani, — naród Polski może stanąć z dumnym, wyniosłym czołem, bo spełnił swój święty obowiązek, na który nań nałożyła bogata i szlachetna przeszłość, nie sprzeniewierzył się tradycji, uświęconej blisko półtorawiekowym męczeństwem, naród polski spełnił swoje najwyższe przykazanie, by ostatnią kroplą krwi, ostatnim szelągami wywalczyć swoją wolność i niepodległość:

Naród Polski stworzył legiony, a w bój je poprowadził Józef Piłsudski!

Wiekopomne świadectwo nieugiętej Duszy Polskiej!

IV.

Pisze się teraz niezmiernie dużo i szeroko w Niemczech o polskich »Illuzyach«.

Zapewniając, to znowu niechętnie, obietniczo lub zbywająco — w każdym razie coraz częściej figurują one polskie illuzye na szpaltach prasy niemieckiej!

A przecież my żadnych nie mamy!

Przestroga, jakiej nawet przychylni Polakom piśma nie szczędzą — ono osławione »point de rêveries, messieurs!« wszystko jedno w jakiej formie nam się ją daje, zbyt nam jest zażyłą, byśmy jej znowu wysłuchiwać potrzebowali.

A więc rezygnacya, ostateczne złożenie broni, korne kajanie się przed niezłomnymi, nieugiętymi mocami tej śmiesznej »dziejowej konieczności?!«

O nie! tysiąckrotne nie!

Wielkiemu bohaterowi Kościuszce włożono w usta świętokradzki frazes: »finis Poloniae« — nigdyby się podobne zbrodnicze słowa nawet w obłąkanej rozpaczy przez krtań jego były przedarły — tym razem hi-

stori i fałszować nie można — pokrewny Kościuszce i równy mu — często już tu wspomniany generał Piłsudski wydał 5-go sierpnia 1915 orędzie do legionów, które w swej wspaniałej prostocie i iście mocarnem poczuciu wielkości zadania, jakie wziął na swe barki, stanowi może najważniejszy i najkosztowniejszy dokument dziejów Polski w ostatnim lat dziesiątku.

Z okazji rozpoczętej przed rokiem walki i z okazji zdobycia Warszawy, pojawił się następujący dzienny rozkaz Brygadyera Piłsudskiego:

Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi źle wyposażonych rozpocząłem wojnę.

Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbywać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przytem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, wążących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło szabli polskiej!

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-milionowego narodu, nie nasza w tem wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej »neutralności« jakiejś dla siebie od kogoś »gwarancyi«.

Żołnierze! Poszliście za moim rozkazem bez waha-

nia, bez chwili namysłu, czy los Wasz nie będzie podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Poszłiscie, by stanąć w obronie jeśli już nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej Jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się jak słoma w pierwszym dobrym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął! Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy się obejrzymy na nią, dziw bierze, że istniejemy, że dawno już rodzime bory nie szemrzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach z wielkiej wojny 1914—1915 roku.

I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także Jej awangardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkim, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! Dziś po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować Wam olbrzymich triumfów nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do Was, jak ongi zawołać: »Chłopcy! Naprzód! Na śmierć czy na życie, na zwycięstwo, czy

na klęski — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do
zmarłych powstania!«

J. Piłsudski.

Ożarów, 5. sierpnia 1915.

Pod Lubartowem.

Nie chodziło Piłsudskiemu o piękne słowa, ani o misterną, retoryczną stylizację — w tych słowach o kamiennej mocy wypowiedziała się dusza Polska w swej najgłębszej myśli i harcie nieugiętej, spiszowej potęgi, dusza Polski, w Piłsudskim i jego legionach ucieleśniona.

Czyż można choć na chwilę wątpić w świętość i szczerłość tych słów, które, zda się jeszcze świeżą krwią serca, z pod którego zostały wyrwane, ociekają? Któż z nich wysłyszeć zdolen jakieś chełpliwe illuzye? — przecież raczej wieje od nich ciężki, samotny smutek, ale smutek silnych, tukiem lwów wykarmionych — nieprawdaż, Wy bracia pancerni w świętym boju o najświętsze dobro?!

Nasze illuzye?

To przecież chyba nie illuzye, jeżeli Polacy ośmielają się święcie w to wierzyć, że wierność ich równą wiernością odplaconą zostanie, jeżeli żyją tem przeświadczeniem, że naród, w którym poczucie sprawiedliwości i zdolność ocenienia moralnej wartości innego narodu tak głęboko wkorzenione, jak może w żadnym innym, jest zdolen objąć ogrom ofiar i poświęceń i zaparcia się siebie, czego Polska w tej wojnie

aż nadto widoczne złożyła dowody — nie tylko ob-
jąć, ale zrozumieć, i z pokorą, godną tylko najsilniej-
szych, ocenić i wzajem się odplacić.

Czyżby za śmiałe miało być to przeświadczenie,
że i Niemcy wyciągają ku Polakom rozbijającą, przy-
jacielską rękę, ci sami Niemcy, którzy dziś są dumni
z sojuszu z Turcyą, jedynym narodem — »et haec me-
minisse iuvabit« — który po dziś dzień nie uznaje
podziału Polski, mimo, że Polska, jako przedmurze Za-
chodu, nie jedną wojnę na śmierć i życie z nią to-
czyła.

A gdyby to wszystko miało być tylko illuzją, jak-
ież się jej wyzbyć, gdy się czyta słowa, przez najpo-
tężniejszego geniusza Niemiec, wcielenie duszy nie-
mieckiej, Wolfganga Goethé, które wypowiedział do
Eckermanna:

»Es giebt eine Stufe, wo man ein Glück oder ein
Weh seines Nachbarvolkes empfindet, als wäre es dem
eigenen begegnet. Diese Kulturstufe war meiner Natur
gemäss!«

I na tym stopniu kultury stał naród niemiecki
1831 roku — miałbyż teraz wstecz się cofnąć i o tem
zapomnieć?

Chyba przenigdy.

Więc to jedno nie jest naszą illuzją!

Straszliwa powaga Śmierci rozpostarła swoje
skrzydła ponad wijącym się w krwawych męczarniach
Narodem, który umrzeć nie chce, i któremu nie da-

nem jest umrzeć, mimo, że go tylokrotnie żywcem po-
grześć chciano — jeden tylko promień światła i na-
dziei przedziera się przez jego czarną noc, którego jego
Dziś od jego Jutra odgranicza:

Wiara, że wierność wiernością odplaconą zosta-
nie.

To wszystkie nasze polskie illuzye!



WYDAWNICTWO KSIĘGARNI I MAGAZYNU NUT
MARYANA HASKLERA W STANISŁAWOWIE

LITERATURA I SZTUKA

MONOGRAFIE

POD NOWĄ REDAKCYĄ

KAROLA IRZYKOWSKIEGO

DOTĄD WYSZŁY NASTĘPUJĄCE TOMIKI:

	K h
T. I. Brzozowski St. Współczesna powieść polska	2:40
T. II. Braumfeld G. Maksym Gorkij (ślądami człowieczeństwa	1:—
T. III. Feldman W. Pomniejszychyciele olbrzymów, szkice literacko-polemiczne . .	1:60
T. IV. Irzykowski K. Fryderyk Hebbel jako poeta konieczności	2:60
T. V. Brzozowski St. Współczesna krytyka literacka w Polsce	2:40
T. VI. Brzozowski St. Fryderyk Nietzsche .	1:—
T. VII. Jellenta Cezary. Cypryan Norwid . .	1:50
T. VIII. Brzozowski St. Stanisław Wyspiański (wydanie pośmiertne pod redakcją Karola Irzykowskiego)	2:40

**Do nabycia we wszystkich księgarniach
oraz w c. k. Nadw. Księgarni M. Perlesa w Wiedniu I.
Seilergasse 4 (boczna Grabenu).**

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

13527/1



11-013527-000-0

11
13527